



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



Boże Narodzenie.

POGA WĘDKA

Kończy się adwent, za dni kilka będziemy obchodzili święta Bożego Narodzenia, za tydzień dobiegamy końca starego roku i zamkniemy wszystkie rachunki bieżące, prawdopodobnie z deficytem, który jest chroniczną chorobą współczesnych bilansów.

Remanent na rok przyszedł składać się będzie z minusów; tak przynajmniej twierdzą prowadzący rozmaite księgi, nie tylko handlowe.

Tymczasem, jak gdybyśmy mieli obowiązek wyczerpania całej cierpliwości słuchu i naszej bezdennej melomanii, koncertujemy w Warszawie tak zawzięcie, jak nigdy. Gdyby w roku przyszłym zapowiedziana była epidemiczna głuchota, nie korzystalibyśmy chyba więcej z naszych uszu, niż teraz korzystamy.

Codziennie prawie kolorowe afisze zapowiadają jakiś koncert to w tearze, to w salach redutowych, to w salach ratuszowych i codziennie po części publiczność warszawska niesie swoje uszy i swoje ruble na ofiary muzykom i śpiewaczkom, uszczęśliwiającym nas swymi talentami.

Panna Russel jeszcze nie może się rozstać z nami i pożegnać już na prawdę. Przypomina mi to *Finale* szóstej symfonii Rubinsteina, którego wysłuchałem z niemałym wysiłkiem dobrej woli na piątkowym koncercie w Teatrze Wielkim.

Niby to już, już... już po wszystkim; gdzie tam!... pikulina znowu się odzywa trylami i *da capo* rozpoczyna się zakończenie.

„Matkom“ (mówię o matkach firmowych znanej instytucji) łaskawe losy zesłały pannę Belocca i Arweda Poortena; panna Belocca jest mezzo-sopranistką, która w dolnych registrach naśladuje alt; śpiewała widocznie dużo na rozmaitych scenach, ale rozgłos, który ją do nas poprzedził, musiał być równie sztucznym, jak niskie tony primadonny.

Poorten to dobry znajomy warszawskiej publiczności; typ starego wioloncellisty, którego bardzo trafnie przyrównał p. Bogusławski w swojej recenzji do Seriorjusza z „Dalili“ Feuillet'a; coś romantycznego ma w fizioznomii, coś romantycznego w grze, umie „płakać na wioloncellu“ i dobierać się do serc słuchaczy łagodną melancholią, nie w ten sam sposób wprawdzie, jak p. Józef Komierowski, amator-śpiewak, którego słuchaliśmy również na macierzyńskim koncercie, ubolewając, że tak świetny materiał na skończonego artystę nie stał się filarem żadnej opery dotychczas.

Pan Komierowski ma baryton pełny, dźwięczny, ciepły, ma śliczne *mezzo-voce* i umie wyborze władać swym głosem; kiedy się odezwie—kobiety przymykają oczy, główki z rozmarzeniem w tył pochylają i zaczynają szybciej oddychać.

Nie wyobrażam sobie lepszego Don Juana z fizioznomii i głosu na scenie.

Niestety, ród ewangelicznego sługi, który talent zakapał, trwać będzie widocznie do skończenia świata...

Koncerta symfoniczne w Teatrze Wielkim są zasługą p. Rzebiczką, jak kameralne—p. dyrektora Zarzyckiego; na jednych i drugich publiczność warszawska nauczyła się słuchać, rozumieć i smakować w poważnej muzyce. Mojem zdaniem są to publiczne lekcje kształcenia dobrego smaku w tym rodzaju sztuki, na którym podobno Warszawa miała się znać dotychczas, ale to znanstwo było mi zawsze trochę podejrzane.

Zeszłego piątku w symfonicznym koncercie brał udział Barcewicz. Pamiętam pierwszy występ jego na temsamym miejscu po powrocie z konserwatorium petersburskiego przed laty kilkunastu. Znakomity dzisiaj skrzypek był wówczas tylko niepospolitym uczniem Lauba, a obecnie—to artysta pełnej miary, talent pierwszorzędny, dojrzały, skończony. Mógłby zadziwiać i porwać publiczność zagraniczną, zbierając laury, oklaski i złoto, jak inne „nasze chwały“, które od czasu do czasu przyjeżdżają z łaski zagra-

lub zaśpiewać swoim; nie czyni tego, siedzi w Warszawie, wybrał skromniejszą część i nawet nie wspomina nigdy „o poświęceniu“, którem tak często popisują się miernoty.

Skromny i cichy, poprzestaje na stanowisku pierwszego skrzypka w orkiestrze teatralnej, i od czasu do czasu wystarczają mu gorące oklaski wielbicieli jego talentu i szablonowe pochwały recenzentów, którzy wykrzykniki zachwytów zostawiają dla zagranicznych znakomitości. Pozwala się pokoleżeńskemu i protekcyjnie przez swego kapelmistrza kłapać po ramieniu na estradzie koncertowej w dowód uznania i nie ma najmniejszej pretensyi, że wśród wieńców laurowych, które mu gdzieindziej obdarzono, brak mu dotychczas choćby jednego listka od swoich.

Niechby kiedy porzucił Warszawę i grał obcym—nazwalibyśmy go niewdzięcznikiem, który się do obywatelskich obowiązków w sztuce nie poczuwał...

Towarzystwo Muzyczne środowem rautami wypłaca swoim członkom przypadającą im sumę wrażeń, a w Poniedziałek urządziło wielki koncert z udziałem znakomitego kompozytora Scharwenki i jego żony wioloncellistki.

W historii muzyki Naumana znalazłem wzmiankę, że Filip i Xawery Scharwenkowie są pochodzenia polskiego, rodzili się w Szamotulach, zatem pisali może niegdyś przez *Sz.*, ale dzisiaj zaliczani są do grupy niemieckich kompozytorów.

Widocznie sami tak chcieli.

Po tem zbożeniu wracam znowu do muzyki, bo mam obowiązek miły zaznaczyć pierwszą rocznicę istnienia „Lutni“ i jej koncert w salach redutowych. Musiano zmienić miejsce popisu sympatycznych śpiewaków, gdyż Reśursa Obywatelska okazała się za ciasną dla wszystkich słuchaczy, żadnych rozkoszowania się tym sześciogłowym słowikiem, który należy dziś do ulubieńców publiczności.

„Sympatyczna Lutnia“ i „nasi dzielni wioślarze“, to dwa charakterystyczne termina, które się tak powszechnie przyjęły, że bez tych przymiotników, jak bez przydomka pewnych historycznych wielkości, nie daje się mówić o obu stowarzyszeniach.

W ciągu ostatnich lat kilku rozwinęło się u nas nadszpiewanie życie klubowe, potworzyły się koła i kółeczka korporacyjne, których korzystnej działalności i potrzeby niepodobna zaprzeczyć.

Pożyteczny sport coraz więcej zyskuje zwolenników. Obok towarzystwa wioślarskiego, które, jak Lewiatan, coraz szerzej rozpiera się latem na Wiśle, a zimą we własnym, wygodnie i z komfortem urządzonym lokalu rezyduje, powstało towarzystwo cyklistów, które w nowym budynku ma również swoją własną siedzibę.

Rozwijamy tedy z dwóch końców organizmu zręczność, zdrowie i fizyczne siły: w rękach przy wiosle, w nogach na kółkach skoropędu; stajemy sprężyste muskuły ćwiczeniami gymnastycznymi, obok czego nie powinniśmy zaniedbywać *sui generis* gymnastyki głowy i serca.

Ćwiczeniem serca w dobrych uczynkach jest także i filantropia; ten rodzaj gimnastyki wszelako od dawna praktykuje Warszawa i urządza częste w tym kierunku popisy. Nadchodzące święta i Nowy rok podadzą nową po temu sposobność; Towarzystwu dobroczynności ostatnia „Gwiazdka“ zyspała trochę swoich złotych promieni w wartości około 3,000 rs. podobno.

Dobre i to na te ciężkie czasy, chociaż przydałoby się więcej dla biednych, którym zima zaczynać dokuczać wkrótce poswojemu.

W dziennikach odzywają się już nawoływania „na oplatek“ dla ubogich. *Kurier Codzienny* w szczególności opiekę wziął biedną dziatwę i chce dla niej urządzić drzewko w dzień wigilijny z podarkami, które zbiera od miłośników. Niech się ucieszą chociaż w tym jednym dniu weselnym biedne maleństwa i niechaj nie potrzebują zazdrościć ze lżą w oku szczęśliwszym rówieśnikom!

Wiem dobrze, że i bez mojej zachęty z każdego domu, w którym są dzieci, wpłynie jakaś ofia-

ra „na gwiazdkę“, stare zabawki, książki, ubranka, resztki bielizny, trochę łakoci, jaki taki grosik z rozbitej skarbonki pójdzie od małych ofiarodawców na podarek i uciechę dla tych, którzy wydziedziczeni od losu tak mało mają powodów do radości, tak rzadką sposobność do szczerego uśmiechu, co rozpogadza duszę, jak słonko oblicze ziemi.

Rosłina bez słońca blasków, dusza ludzka bez uśmiechu—złe się hoduja... Pamiętajcie o tem.

Byłem w kilku księgarniach i widziałem przygotowane na gwiazdkę wydawnictwa dla dzieci; wydawcy nasi nie zrażają się trudnemi warunkami, ręk nie opuszczają, swoje robią, choć z ryzykiem większem dziś, niż kiedykolwiek. Przybyła tedy wiązanka nowych, ładnych książeczek na świąteczne podarunki, ale zawsze to daleko jeszcze nam do Niemców, Francuzów i Anglików, którzy nie potrzebują się od nikogo zapożyczać nikogo naśladować, mają swoich oryginalnych pisarzy i rysowników, pracujących co roku dla „literatury gwiazdkowej“.

Nam, niestety brankie jeszcze zawsze, specjalnych piór do pisania dla dzieci polskich; po Jachowiczu, Chęcińskim i Anczycu mało kto potrafił ich zastąpić z powodzeniem; dlatego też głównie tłumaczenia lub przeróbki górują nad oryginalną w tym rodzaju twórczością.

Trzeba dobrze znać dzieci, trzeba z niemi przestawać, badać ich umysł, charakter, naturę, ażeby umieć pisać dla nich, no, i rozumieć się mieć talent odpowiedni. Kto nie wierzy, niechaj spróbuje opowiedzieć dzieciom bajkę: przekona się, że łatwiejby mu poszło niekiedy improwizować mowy wobec dorosłych tłumów, niż zająć małoletnich słuchaczy swoich.

Śmiem powiedzieć, że zamało badamy ten światek maluczkich, my ludzie od pióra i ołówka. Czy uważaliście, jak rzadko zdarza się w ilustracjach lub obrazach naszych artystów dobrze schwycona główka, wyraz twarzy, cała figura dziecka; jak zwykle mają te postacie albo konwencyonalną buzię z dużymi oczyma i loczkami dokoła, albo charakter dojrzałych rysów w pomniejszeniu. Nie rozumiem, dlaczego żaden z naszych malarzy, zamiast studyować odwieczne błoto, śnieg, konie ze wszystkich stron, bryczki i psy na smyczy, nie zajął się specjalnie studyowaniem dziecięcych typów i tego małego światka, pełnego wdzięcznych motywów dla artysty...

Malowane i rysowane dzieci mają w sztuce dzisiejszej po większej części tesame braki i wady, co dzieci opisywane w literaturze; nowellistyka i i powieść posługuje się dość często dziećmi, ale podobne one do lalek raczej i manekinów, niż do prawdziwych dzieci z żywej natury.

Co dziwna, że autorki nasze, jako kobiety, gorzej w tym względzie wywiązują się ze swego zadania od mężczyzn. Prus jeden najlepiej może umie w swoich nowellach i powieściach przedstawiać dziecko, chociaż sam tej pociechy nie posiada, ale trzeba go widzieć, w gronie tych maluczkich, jak się z dziećmi bawić i obchodzić umie! Jestem pewny, że gdyby zechciał, potrafiłby napisać dla nich najzabawniejszą i najpiękniejszą książeczkę na gwiazdkę; powinien to zrobić kiedy w chwilach swobodniejszych...

Ruch wydawniczy u nas przeważnie objawia się na polu belletrystyki; powieść, z „Panem Wołodyjowskim“ na czele, szturmem zdobywa lady księgarskie, jakkolwiek z ubytkiem Kraszewskiego ogromna luka powstała w tym rodzaju twórczości.

Z poważniejszych wydawnictw, nie dla rozrywki i zabawy, ale dla nauki, mam obecnie na moim stoliku kilka godniejszych uwagi. Oto np. redakcja *Przeglądu Tygodniowego* wydała zajmującą i pouczającą książkę z ilustracjami licznymi p. t. „Szląk austriacki“, jako początek całego szeregu popularnych obrazów, w których mają być społeczeństwu naszemu przedstawione kraje w całości lub w części zamieszkałe przez narodowość polską. Nie jest to praca oryginalna z gruntu, ale osnutą została umiejętnie na podstawie dzieła niemieckiego dr Antoniego Petera przez p. Władysława Korwina Zielińskiego.

który część historyczną i kulturalną uzupełnił własnymi badaniami źródeł czysto-polskich.

Znany pisarz, p. Maryan Dubiecki opracował nowy podręcznik do „Historii literatury polskiej,” który zeszytami zaczęła wydawać stara zasłużona firma księgarska Maurycego Orgelbranda w Warszawie. Sumienny badacz naszych dziejów i piśmiennictwa, z oryginalnego stanowiska traktuje swój przedmiot, pokazuje nam rozwój naszej literatury na tle historycznym całego społeczeństwa. Pierwszy zeszyt jego dzieła znajduje się już w handlu księgarskim i zapowiada pracę poważną, gruntowną, pouczającą, która będzie nabytkiem prawdziwie pożytecznym i potrzebnym. Dotychczasowym „Historiom literatury polskiej,” można było robić rozmaite zarzuty; jedne były za pobieżne, drugie źle ułożone i niewymierne, innym brakło jednolitości, które tworzyły kompilacje z rozmaitych autorów; gdzie przy częściowych zasługach i przymiotach dało się zrobić zarzut chybionej całości. Przydałaby się tedy bardzo książka, opracowana oryginalnie, przedmiotowo, z wytrawnym, spokojnym sądem, któraby dawała pełny, oile to możliwe w mniejszych rozmiarach, obraz naszej umysłowej twórczości i geniuszu pisarskiego od najdawniejszych wieków po czasy dzisiejsze.

I tem potrzebniejszą jest taka książka, im bardziej staje się ona jedynym źródłem zaczerpnięcia tych wiadomości, które każdy średnio wykształcony człowiek, dbały o swoją literaturę, przyswoić sobie powinien.

Warszawska „Spółka nakładowa,” której firma na wydawnictwach dobrze poleca dzieła prawdziwej wartości, przygotowuje na koniec roku bieżącego obszerną pracę dr. A. Okolskiego, prof. uniwersytetu warsz. p. t. „Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.” Będzie to jedna z najważniejszych książek na czasie, bo oprócz wartości naukowej dogodzi również należycie potrzebie praktycznej. U nas „politykuje się” dużo, pochłania mnóstwo telegramów i artykułów politycznych, a o właściwej podstawie urządzeń państwowych, o znaczeniu gabinetów, parlamentów, konstytucji, organizacji rządów, kompetencji ciał prawodawczych, wyborach, sejmach i t. p., ma się często mniejsze pojęcia, niż ślepy o kolorach.

Książka dr. Okolskiego, pierwsza u nas w swoim rodzaju, przyczyni się do rozjaśnienia pojęć, jako też zaspokojenia chwilowej ciekawości — a dla czytelników gazet politycznych będzie komentarzem koniecznym.

Nakładem tejsamej firmy ukazać się ma również niebawem „Socjologia” dr. L. Gumplowicza; i przedmiot, i autor zasługują na uwagę poważnych czytelników.

Zabiegi konkurencyjne w prassie naszej, jak zwykle pod koniec roku, ożywiają ruch wydawniczy, otwierają upusty prospektom, premiom, zapowiedziom. Prenumeratorem w tym czasie jest niby posażna jedynaczka do wzięcia; podbija się go ze wszech stron. Zdawać-by się mogło na pozór, że wydawcy nasi robią świetne interesa na dziennikach i tygodnikach, obsypując swoich prenumeratorem coraz większymi obietnicami i niespodziankami: a tymczasem to tylko środek przezorności, by utrzymać w tych niepewnych czasach to, co się już ma.

Czego więcej może zapragnąć np. prenumeratorem *Echa teatralnego*, kiedy mu dodają na premium *dziesięć* tomów utworów Schumanna w nutach, albo prenumeratorem *Tygodnika ilustrowanego*, *Życia* lub obu *Kuryerów*, który dostanie noworoczny upominek w postaci Albumu literacko-artystycznego z artykułami i rysunkami wszystkich cenniejszych autorów i artystów?..

Przyznajcie, że lepszy interes jest być prenumeratorem jakiegokolwiek pisma, niż akcyonariuszem niejednego przedsiębiorstwa lub instytucji, wdychających boleśnie na samo wspomnienie dywidendy.

Co pozostawiając waszemu stwierdzeniu, biorę do ręki opłatek, zdaje się poraż dziesiąty na tem miejscu, i idę łamać się z wami w milczeniu, bo są chwile, w których słowo głośno staje się zbyt cennym, gdy serca się rozumieją.

Ucałujcie wasze dziatki odemnie przy choince, nad którą błysnie wkrótce gwiazdka, co zwykle „dobrej wieści” bywała zapowiedzią.

Quis.

Z ŻYCIA O ŻYCIU.

I. Sztuka biedy.

(Dokończenie).

Jak oszczędzać i na czem?... Czy dorywczo wyrzekać się przyjemności, ograniczać wydatki przy każdej danej sposobności, czekać na pokusę, aż przyjdzie, i wtedy dopiero z nią się mocować; czy też od razu z góry ułożyć sobie taki etat potrzeb, taki budżet ciężarów i wydatków koniecznych, i tak się nim nawskroś przejąc, aby pokusa już sama nie miała przystępu i spotykała na swej drodze silny szaniec nowego planu życia, ułożonego rozumnie, trzeźwo, ze spokojem, choć może nie bez wybaczalnej przykrości, jaką sprawia każde wyrzeczenie się, każde zestąpienie z wyższego szczebla na niższy?

Postawić takie pytanie, jest to już je rozwiązać. Faryniarskie wybieranie ziarenek po ziarnku na nic się nie zda. Trzeba sobie z góry całą plantę gospodarczą ułożyć, z góry wyłączyć pewne kategorie wydatków i odpowiednie kategorie stosunków z ludźmi — jeżeli się chce w drodze nie ustać. Komu ani umysłu, ani woli nie starczy na to, aby mógł być dla siebie samego takim ministrem skarbu, układającym z góry budżet na przyszłe wydatki — ministrem kontrolowanym przez czujną komisję sumienia — ten empirykiem zaoszczędzaniem się w każdym danym wypadku, z góry nieprzewidzianym i nieużywanym, niewiele dokaże: zmarnuje tylko siły i jeśli miał szczerą wolę, zniechęci się do samego siebie, do żony, dzieci, do całego domu swego, — do świata. Piekło wybrukowane jest dobrami chęciami.

Nowy etat wydatków musi być tedy i nowym etatem życia i ten ostatni w pierwszym się już mieści, jak jądro w łupinie. Trzeba życie swoje transponować na ton niższy, — aby też zniżyć swoje potrzeby, a za nimi i rozchody. Trzeba się odważyć na zerwanie wielu stosunków, na ograniczenie swego kręgu towarzyskiego, na wyrzeczenie się wielu przyjemności i ponoszenie względnych niewygód, a bodaj nawet przykrości. Wielkim wrogiem nowego porządku życia, dążącego do zachowania jednostki jako siły i stanowiska jej jako wartości społecznej, jest tak zwany *świat*. Jest to coś złożonego z piany, z mgły, z blasku, z próżniactwa, często z głupstwa i błota. Ten „świat” — któryśmy z wielu innymi dobrodziejstwami obyczajowymi dostali od Francuzów, jest formą specjalną mody, dalszym jej ciągiem, tylko już nie w ubiorze, ale w obyczajach. Czczy i pusty, lichy i nędzny, więzi on umysły i dusze, serca i charakter, — znieprawia je, ściera, zabija samodzielność, odwraca od poważnych zadań życia. Energia jednostek przepada dla społeczeństwa, wartość ich społeczna, wyrażająca się w pracy, ginie tam, gdzie ten samum straszliwy powiał i zatrutą po sobie atmosferę zostawił. Człowiek musiałby być wielkim, aby go takie trujące powietrze zdrowym zostawić mogło; dlatego też w tych hołdujących *światach*, związanych ze *światem*, żyjących w *świecie*, — choroba i śmierć moralna już gospodarują, i nie wierzą ani w ich zdrowie, ani w ich pracę, ani nawet w ich uczciwą wolę. Człowiek, co oddał się na głupstwo i utonął w zewnętrzności, nie może żyć mądrze i zamknąć się wewnątrz siebie. Świat będzie dla każdego z takich salonem, — wyobraźnia ich nie zdoła go sobie inaczej, tylko jako salon, wystawić. Co nie pozwala tak zwanej arystokracji być na stanowiskach swoich, jak mówią Amerykanie, *the right man to the right place*, jeśli nie

ta zaraza *świata*, już od dzieciństwa ogarniająca umysły? Przyjrzyjcie się wychowaniu lordów — czów angielskich i porównajcie je z wychowaniem dzieci naszych lordów i półlordów: od razu zrozumiecie przepaść oddzielającą jednych od drugich.

Świat wyrabia fałszywy wstyd i fałszywą ambicją Potwór ten żyje zbytkiem, oddycha konwenansem, a zabija życiem nad stan. Konwenans jest prawem potwora. Nie wypada być nie-bogaty: potrzeba udawać bogacza. Państwo A. wydali bal (o którym coś wie Mordka z miasteczka); państwo Z nie mogą nie przyjąć swych znajomych z taką samą wystawnością; Panna N. dostała w wyprawie takie a takie srebra koronki i fatalaszki; panna M., jej przyjaciółka, skryłaby się pod ziemię ze wstydu, gdyby się z nią zrównać nie mogła. Pan Zdzisław, starający się o pannę sprawił sobie powóz i nowego anglika na koźle i nową czwórkę: dla czegóżby na pana Edwarda rodzicę i panną z mniejszym spoglądać mieli respektem? I tak bez końca w tym dyabelskim młynie. Nikt nie jest sobą, nikt nie chce być sobą, — każdy w sobie odtwarza typ wyższej jakiejś nad poziom istoty, pojmując wyższość jako świetność a istotę jako pusty, nadęty pęcherz. I jaką tu z takich istot złożyć gromadę, jakie z takich żywotów życie ogólne? Wierście lub nie, ale ów świat i prowadzący do niego konwenans, ta piekielna moda życia pozorami i próżniactwem, jest podwalną naszej nędzy, źródłem naszego upadku, — najgłębszą przyczyną dzisiejszego przesilenia ekonomicznego, które nas silniej niż innych przygniata. Gdyby to przesilenie bez udziału woli ludzkiej i wbrew tej woli, — przez samą tylko fizyczną niemożność wydobycia środków materialnych — jako nie przepartą konieczność narzuciło zniżenie skali życia, i przez ustawiczość swego działania wyrobiło oszczędność: nie powinniśmy mu złorzeczyć kiedyś, gdy ustanie; bo, że ustanie, — o tem nie wątpić: na świecie ani złe ani dobre nie jest wiecznem. Wyższa szlachta — używamy określnika tego w potocznym, trywialnym, nie rzeczywiście społecznym znaczeniu — głównie powinna być kiedyś wdzięczną losowi, jeśli jej nie zgruchoce, a żelazną dłońią edukacją jej przeprowadzi. Nieszczęścia kształcą. Zniesiona dziś chłosta dzieci w innej formie nieraz dla dorosłych arcy-zbawienną być może.

Niesprawiedliwym wydaje mi się zarzut stawiany kobietom, że one więcej od mężczyzn przyczyniają się do życia rodzin nad stan; a wręcz już niegodną mężczyzny, ubliżającą jego siłę, a przynajmniej stanowisku siły, skarga, że on sam wszystkoby zrobił i wydatki, i stosunki swoje ograniczył i poprzestał na małym, ale mu przeskądza jego kochana *magnifica*. A od czegoż masz głowę na karku, rękę żylastą, zmysł zachowawczy, miłość własną i przywiązanie do dzieci, Boga w sercu wreszcie — abyś się podobnymi wykrętami tłumaczyć mógł w nieprzekupionym sądzie swego sumienia? Czy ci nie wstyd przyznać, że cię baba przekrzywała, zahukała, przemogła? Wiecznie będzie się kołatał ten typ króla Sobka, co to kochanej Marysieńce we wszystkim na starość — ale na starość — ulegał; wiecznie gnać nas będzie, jak widmo, ze straszliwą plastiką wytworzona przez poetę grupa Gwinony i Lecha? Zresztą, czyż tak trudno przemówić do rozsądku, do macierzyńskiego serca, do zmysłu zachowawczego towarzyskiego swego życia; czyż tak trudno podbić jej upór — gdyby był — własnym przykładem, stałością i ciągłością własnego sposobu życia? Złoty przykładzie, jakże o ciebie trudno! I tu tkwi główny cierń tego małżeńskiego oddziaływania rozumu na nierozum, pożytku na szkodliwość, troski na bezmyślność. Trudno nawracać innych, gdy się samemu brnie w grzechach. Zapewne, kobieta ma większy pociąg od mężczyzny do mody i *świata*; ale w życiu całej rodziny nad stan wina jej nie jest większą od wina mężczyzny, a odpowiedzialność, w najcięższych nawet wypadkach, zawsze absolutnie musi być i powinna być mniejszą. Ubliża to mężczyźnie, przeczy jego siłę, przeciwia się jego przywilejom, jakie mu nada-

je bądź prawo, bądź obyczaj, gdy urządzenie domu na tę a nie inną stopę, gdy cały sposób życia i bytowania w społeczeństwie—na jej zwalamy sumienie. Ilekroć wskutek zbytku rodzina leci do majątkowej i—oczywiście—moralnej przepaści: zawsze mężczyzna jest winien, nie kobieta. Potrzeba na to wyjątkowych piekielnic, aby się ten stosunek mógł w trzeźwym rozsądku odwrócić. Nie zrzucacie z siebie odpowiedzialności, panowie stworzenia: dzwigając ją nakazuje wam własna wasza godność. Silniejszym dla honoru pancerzem jest przyznanie się do błędu, niż wypieranie się go.

Zerwanie ze „światem“ z początku trudnem będzie; ale właśnie w początku, dopóki się nie wyrobi nałóg, wola na ciągłych czatach stać powinna. Czujność i trud jej nie pójdą na marne: wynagrodzą się sownie tem właśnie, co na ofiarę wydanem być miało: towarzystwem ludzkim. Zerwie się stosunki czcze, aby tem silniej zacieśniły węzły istotne. Ubędą dawni ludzie; znajdą się nowi, a choćby i nie, — będzież to nieszczęściem? Młodość nie trwa przecież wiecznie, a dom i rodzina własna coraz lepiej, coraz pełniej i doskonalej, z postępem lat, wystarzają człowieka. Zapewne, milem jest towarzystwo — i najpoważniejszy, najbardziej zamowiony, żyć bez niego nie może; ale pamiętać trzeba, że popęd do towarzyskości, najodpowiedniej nawet zaspakajany, zawsze darzy tylko zabawą; gdy tymczasem życie musi być i jest pracą, znojem, nieraz męką—a biada tym, którzy je inaczej pojmują! Czyż nie lepiej żyć z równym sobie, z niższym nawet majątkowo, społecznie i umysłowo, aniżeli chodzić wiecznie na szczytach,—i piąć się na popisowe estrady? Czyż z hrabiami tylko żyć można, a tylko dobrze urodzonym rękę podawać? Pytanie to rzucam tej klasie, która wskutek swojej zamożności, niegdyś posiadanej, oraz herbowych i półkarmazynowych tradycji, dziś mających tylko wartość pamiątek, uległa pokusie życia z arystokracją na sposób arystokracji, ze złudzeniem arystokracji. Są oni dziś—w tem przesileniu ekonomicznem—najszczęśliwsi ze wszystkich: zawiele mają pychy, a zamało pieniędzy, i który z nich nie otrzeźwiał już lub nie otrzeźwieje, przepaść musi i runąć, i nic go już z przepaści nie wydobędzie.

W tym processie wytwarzania się samowiedzy, mającej dać rodzinie moc przystosowania się do zmienionych warunków życia, wielka rola przypada kobiecie. I ona także musi w sobie znaleźć rozsądek, uczciwość, sumienie, rzetelną miłość dzieci i męża, wolę zachowania własnego bytu,—tę najprawdziwszą, najrozumiejszą miłość własną — musi znaleźć i na zewnątrz przeciwko przeciwnościom losu wyprowadzić całą swoją niezmysłową kobiecość, swoją niewieścią i człowieczą godność. Jeżeli dziedziczność utrzymała w niej i życie nad stan, i upędzanie się za marnymi pozorami, za modą i światem, za świetnością i połyskiem—zadanie jej będzie cięższe, wymagać będzie walki z samą sobą, przemożenia i zmożenia siebie—i do pewnego stopnia stać się musi zadaniem bohaterstwa. Ale tym, które wyszły z domów uczciwych, poprzestających na dostatek, niezarażonych trądem życia zmysłowego i arystokratyzmu, przyjdzie bez wielkiego trudu współdziałanie z mężem przy wytwarzaniu i wprowadzaniu w życie nowego planu gospodarczego—dlatego gospodarstwa i rządu dusz, jakim jest i być musi,—czy chcemy czy nie, czy uznajemy czy nie — każda rodzina w organizacji społeczeństwa ludzkiego. Przypuszczamy tylko, że takiej kobiety, przez dobrą matkę wychowanej, małżeństwo nie zepsuło; nie obudziło w niej tych właśnie upodobań, które duch nowy, przez nowe warunki bytu wywołały, niemilosierdzie tępić musi. Od lalek i piekielnic niczego się nie żąda: mają zupełną swobodę—swobodę wyjętych z pod prawa.

Niech mnie kto chce o optymizm oskarża, powiem, że u nas jeszcze takich fryg i wibryonów jest niewiele. Zrąb kobiecości żywej i czynnej, stoi, zapewne nie na wielką i świętą budowę, ale cały jeszcze i zdrów, mimo nieodłącznych od natury ludzkiej niedokładności i zbożeń. Niech-

żeż te uczciwe, rozsądne i moralnie zdrowe pojmą swój obowiązek i odważnie staną do pomocy swym mężom—przy wprowadzaniu oszczędności w życie, w jego formach, a następnie w wydatkach.

Powiedział ktoś o kobiecie:

Kobieta jest u skrzydeł mężczyzny ołowiem.
Lecz może być i cichem dla niego wezglowiem.

Niechżeż ona w tych ciężkich chwilach dzisiejszych pokaże, iż nie ciężarem jest u skrzydeł, ale skrzydłem samem; niech niedowiarków przekonana, że nietylko wezglowiem, ale i „głowy męzowej koroną“ być może. Moda i ów świat przekłety — francuzczyzna i francuzka układność, konwenans i wstyd niedorównania innym: to główny, to prawie jedyny jej wróg; jeśli tylko z nim się upora, sama nie spostrzeże, kiedy wejdzie na nową drogę — szczerzej, prawdziwiej, szlachetnie pojętej kobieceści. Nie w mgłach i pobłyskach uczuciowości, nie w migotliwym a czczym idealizmie, nie w smutkach i żalach, ale w jędrnej, rozsądnej, przedsiębiorczej praktyczności dowiedź kobieta może, co w życiu rodzinnem, w całym bycie majątkowym, moralnym i społecznym rodziny swojej znaczy, gdy chce, gdy jej do tego życie niezdolną nie uczyniło. Tu znowu kobieta angielska, jak w wielu innych stosunkach i zagadnieniach życia, daje naszej wzory do naśladowania. W podobnym, jak nasze, położeniu, wśród przesilenia, które rodom szlacheckim Anglii—zwłaszcza posiadającym grunta w Irlandyi—Nemezisa historyczna! — dotkliwie czuć się daje—nie ograniczają się kobiety angielskiej, do działalności wewnątrz rodziny, ale czynnie przychodzą mężom swoim z pomocą, podejmując pracę ekonomiczną na własną rękę. Nie odstrasza ich *cant* arystokratyczny, nie zbija ich z tropu ów straszny władca dusz naszych, konwenans: dziedziczki zakładają sklepy, córki *gentry* bardzo sędziwej i grubą patyną pokrytej — nie wahają się tam nazwisk swoich umieszczać na szyldach sklepów w Londynie. Taka piękność wielkiego świata, *miss Wheeler* sprzedaje meble, przyrządy i przybory do ozdoby mieszkań. Blizka powinowata lorda *Dunraven* prowadzi magazyn mód, z zysków utrzymuje dom na okazałej stopie i daje dzieciom *arystokratyczne* wychowanie. Dwie córki generalskie otworzyły sklep z ubiorami dziecinnymi. Jakaś *miss Gurney*, dama salonowa, zaczęła świeżo uczyć się krawiectwa, a za jej przykładem poszła jedna z krewnych księcia *Richmond*, ogromnego pana, sama posiadająca jeszcze dostatek, ale wskutek zmniejszenia się dochodów, niewystarczającą już na potrzeby życia fortunę.

Czego uczą te przykłady? Czy także zakładania sklepów i pracowni?... Nie. Uczą tylko praktycznej przedsiębiorczości. Objawić się ona powinna przedewszystkiem w silnym rządzie domowym, we wzięciu wszystkiego pod klucz i rygiel, w przejęciu całego domu duchem oszczędności, w wyzyskaniu tych środków i warunków, jakiby praca kobieca przy utrzymaniu danego ogniska domowego znaleźć dla siebie mogła. Nie lekajcie się panie samych siebie, ani mężów swoich. Jeżeli macie przy sobie Lechów, bądźcie—dla nich tylko, nie dla *Lill* i *Derwidów*—Gwinonami: bierzcie ich gliniane charaktery w krzepkie ramiona woli własnej; ratujcie majątki wspólne i więcej niż majątki, bo wspólne potomstwo, dla którego przecież żyć macie obowiązek!

Jeżeli te uwagi przyniosą jaki pożytek, to stwierdzeniem tego pożytku będzie obudzenie myśli, daleko poza obręb sztuki biedy i oszczędności wybiegających. W funkcjach organizmu społecznego, na wielkich przestworach czasu, niema rzeczy publicznych i prywatnych. Jak życie rodziców odbija się na dzieciach, a wychowanie uzupełnia i nieraz do ogromnej, w złem czy w dobrem, potęgę podnosi naturalną dziedziczność,—tak znowu życie rodzin i jednostek z nich wyrastających wywiera błogi lub złowrogi wpływ na życie ogólne całej gromady, w której rodziny i jednostki grają tylko rolę atomów, molekułów w ciałach, a kulek krwi w organizmach. Gdy krew zepsuta... mówić nie potrzeba, co się stać musi. Nie było może

w całej Europie epoki, w którejby oszczędność występowała tak, jak dziś, silnie w charakterze dobra moralnego, jakim jest rzeczywistość, a tam, gdzie organizacja opiera się tylko na jednostkach i rodzinach, potężniej niosła w sobie prawo i tajemnicę życia zbiorowego. Jednym z darów rozumu jest to, że może śmiało prawdzie zaglądać w oczy. Ta odwaga odróżnia żywotność od wędniejącego charłactwa. Nie z piersi *Szyllerowskiej*, ale ze straszliwych pieczar historii wyszedł głos: „Niedołęgi na dno!“ Póki czas...

Moestus.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Służący zameldował księcia de Chouy i pana Sylweryusza; trudno było o mniej stosowną porę na przyjęcie gości, niż w tej chwili.

— Przeprós, że przyjąć nie mogę — rzekła śpiesznie pani Zofia do służącego, który zrobił minę zakłopotaną i nie ruszał się z miejsca.

— Powiedziałem, że pani ma gości i jest w domu; ci panowie przychodzą się pożegnać...

— W takim razie pros.

Romuald wziął za kapelusza; spotkanie z ojcem i księciem zadawało mu za wielki przymus w tem usposobieniu, w jakim się teraz znajdował. Złorzeczył losowi, który mu nawet bez świadków nie pozwolił pożegnać się z Zofią; miał odejść od niej, jak człowiek zupełnie obcy, czyniący za dość tylko zimnemu konwenansowi. Widział na jej twarzy wyraz zniechęcenia i wysiłku, aby nabrać pozoru obojętności i swobody; przymknęła oczy i stłumiła ciężkie westchnienie, a potem, korzystając z ostatniej chwili, podała mu szybko rękę do uścisku i szepnęła zaledwie dosłyszczanym głosem:

— Bądź pan szczęśliwy... i zapomnij o mnie!...

Nie zdążył odpowiedzieć jej nawet dłuższym uściskiem, bo w drzwiach otwartych stał już książę z bukietem białych róż i kamelii w ręku i, zatrzymując się chwilę na progu, zaczął z żywym zajęciem:

— *Comment, madame, est-ce vrai?... vous voulez nous quitter aujourd'hui?...*

— *Hélas, mon prince, c'est vrai!...*

Rozmowa potoczyła się szybko w języku francuzkim, podtrzymywana głównie przez starego Lovelasa, który pani Odonieckiej zarzucał chłód zbyt zbytni, ale nie pozwalał się wyprzedzić nikomu w galanterii dla niej i przychodził żegnać ją kwiatami na drogę wraz z całym bukietem komplementów w dodatku.

Wieczorem całe „kółko polskie“ w (Nizy tak nazywano rodzinę państwa Fiszbaumów i Laccich) odprowadziło odjeżdżającą panią Zofią na kolej. Panie obsypywały ją czułościami, a Dziunię cukierkami na pożegnanie, panowie kwiatami ubrali wagon. Polecano się wzajemnie swej pamięci przyrzekano pisać do siebie, rozprawiano o drobnych szczegółach podróży, mówiono o wszystkim i o niczem.

— Zatrzyma się pani w Genui?... a w Medyolanie?... W Genui najlepiej stanąć w „Albergo di Genova“, śliczny widok na morze, a w Medyolanie w „Gran Bretagne“. Szkoda, że noc taka ciemna: nie zobaczy pani wybrzeża—cudowna droga!... samemi tunelami. Pani może sypiać w wagonie?... tak mało passażerów jedzie tym pociągiem. W przedziale damskim będzie pani zupełnie samą.

Pani Zofia miała odpowiedź na każde zapytanie, uprzejmy uśmiech na każde życzliwe słowo; nie dawała poznać po sobie, ile ją kosztowała ta pozorna swoboda.

Od czasu do czasu rzucała tylko okiem na Romualda, który trzymał Dziunię za rękę i udawał, że zajęty jest jedynie rozmową ze swoją małą przyjaciółką.

— Nie będzie ci żal Nizzy? — pytał dziewczynkę.

Poruszyła główką przecząco.

— A mnie?

— Ciebie... pana? — poprawiła się skwapliwie i uśmiechnęła dwuznacznie, potem krótko i stanowczo odrzekła:

— Nie.

Spojrzał zdziwiony i urażony zarazem tą szczerością dziecka.

— Nie?... a dlaczego?

Nie dawała mu żadnej odpowiedzi i skubała listki z bukietu, który jej ofiarowała Ludwika.

— Albo ja wiem? — odparła po chwilowym namyśle.

Nie mogła mu powiedzieć, że go przestała kochać, odkąd się ożenił i zapomniał o niej zupełnie, taksamo, jak nie mogła polubić jego żony, pomimo wszelkich z jej strony starań, by pozyskać życzliwość tej rogatej duszyczki w dziecięcym cielem.

Instynktownie nie lubiła całej rodziny Fiszbaumów i przez cały czas pobytu w Nizzy unikała ich towarzystwa.

Pierwsza skoczyła do wagonu, gdy dano drugi sygnał, i stojąc w głębi, patrzyła na wszystkich obojętnie, jakgdyby nie rozstawała się z nimi nazawsze; nie chciała się więcej całować i ścisnąć nikim na pożegnanie.

— *Au revoir, Madame!... bon voyage!* — odzywały się głosy z perronu do pani Zofii, wychylonej przez spuszczone okno damskiego przedziału.

Raz jeszcze spotkały się jej oczy z oczyma Romualda, stojącego na uboczu, w pewnym oddaleniu; nie zamienili z sobą więcej ani jednego słowa, nie podali sobie więcej ręki do uścisku... Zdawało mu się tylko, że ten pocałunek, który od ust rzuciła Ludwice, gdy pociąg ruszył, był właściwie dla niego przeznaczony i że mu spadł na serce, jak grudka ziemi na trumnę spuszczonej do grobu.

— Gdzie pójdziemy na herbatę: do domu, czy do Grand Café? — odezwał się głos papy Fiszbauma, zanim jeszcze zgłuchnął turkot odjeżdżającego pociągu. — Wiecie, że mi przyszedł apetyt na jajecznice!... dalibóg, nie rozumiem, z kąd mi się to wzięło.

W powrocie z dworca ani jednym słowem nie wspomniano więcej tej, którą przed chwilą pożegnano z takimi objawami czułości. Ludwika, wsparta na ramieniu męża, rozmawiała z matką o jutrzejszym raucie w Kassynie, na którym wystąpić miała w nowiuteńkiej toalecie, zamówionej z Paryża, a dotychczas nie nadesłanej, pomimo dwóch telegramów do Worth'a. Pan Sylweryusz prowadził panią Rozalię, a papa Fiszbaum szedł naprzód, potykając się co kilka kroków w pośpiechu; jeść mu się chciało, jakgdyby dzień cały pościł.

Romuald milczał; szli tąsamą drogą, którą dwa tygodnie temu odprowadzał panią Zofię do domu, uwieszoną taksamo u jego ramienia, wśród ciemnej i głuchej nocy...

— Romu, czy tobie nie chłodno?.. zdaje mi się, że masz dreszcze? — pytała go troskliwie żona, przytulając się bliżej do niego.

Nie domyślała się nawet, co mu tem zapytaniem przypominała w tej chwili.

Podczas gdy w osobnym gabinecie cała rodzina z papą Fiszbaumem siadała najspokojniej do herbaty, pośpieszny pociąg pędził po morskiem wybrzeżu i coraz dalej unosił panią Zofię i towarzyszące jej myśli Romualda.

Usiadła w kącie wagonu, przy samem oknie, zasłoniła zieloną roletką światło i patrzyła w czarną noc, oparłszy skroń o szybę.

Dziunia ułożyła się na siedzeniu obok Miss Wadston i zasnęła odrazu.

Miarowy turkot kół i chrapliwy oddech lokomotywy nie pozwoliły oka zmrużyć pani Zofii; przez okna wagonu na ciemnym tle nocy widać było co chwila przelatujące snopy iskier, które, jak zakrwawione ślepie złych duchów, zdawały się zaglądać przez szyby do wnętrza i uciekać na

widok bladej, smutnej, zmartwiałej twarzy kobiety.

Pociąg pędził zdyszany ze stacyi na stacyę, jednak noc w drodze do Genui wydała się pani Zofii długą, jak wieczność...

VII. Finale.

Salony państwa Fiszbaumów oryginalny przedstawiały widok; nigdy jeszcze tak świetnego wieczoru nie pamiętano w domu gościnnego Krezusa.

Nic też dziwnego, że projekt podany przez jednego z panów, by wieczór ten upamiętnić zbiorową fotografią, przyjęto przez akklamacyę.

Obecny na zebraniu malarz, specjalista w odzwierciedlaniu kobiecych wdzięków, podjął się ugrupowania uczestniczek i uczestników tej zabawy.

Wśród liczego grona gości widziano panie w przepysznych kostiumach starożytnych, średniowiecznych i nowoczesnych. Wśród czarnego mrowia panów uwijało się w najmodniejszych frakach czerwonych kilkunastu elegantów, przypominających raki do połowy ugotowane, w białych atlasowych kamizelkach, jedwabnych ponczochach i lakierowanych bucikach ze sprzączkami.

Tych podziwiano, jako osobliwość i ostatni wyraz szyku salonowego.

Pomysł do kostyumowego balu urodził się jednocześnie z projektem urządzenia teatru amatorskiego, na którym przedstawić miano dwie francuskie bluetki i kilka żywych obrazów. Zamierzono zagrać coś polskiego w dodatku, ale z powodu trudności wyboru, musiano zaniechać projektu, tembardziej, że jedyna sztuczka, zalecona przez pannę Ernestynę, okazała się niemożliwą do obsady, gdyż na rolę pokojówki niepodobna było namówić żadnej z dystyngowanych amaterek.

Pani baronowa Krulle uznała nadto, że ton w oryginalnej komedii był za bardzo wulgarny i ubolewała nad polską literaturą, „w której dotychczas nie niema takiego, co by warto było przeczytać.“

Baron z całą szczerością przy tej okazji przyznał się Romualdowi, wciągniętemu do przedwstępnych narad balowego komitetu, że ilekroć brał polską książkę do ręki, tyle razy zasypiał przy niej, chociaż niekiedy nawet przymuszał się do czytania.

Próby i przygotowania zajęły kilka tygodni. Wszystkie trzy córki państwa Fiszbaumów przyjmowały udział w przedstawieniu. Pan Sylweryusz podjął się obowiązków inspicjenta, na reżyssera zaproszono jednego z dystygowańszych artystów dramatycznych, rozumiejącego po francuzku, któremu ofiarowano na generalnej próbie w dowód wdzięczności kosztowną szpilkę brylantową; suflerem zaś na naleganie żony musiał być Romuald. Utrzymywała ona, że za nikim innym nie potrafiłaby powtarzać swojej roli.

— Przy nim nie będę się obawiała zasypać — mówiła, używając terminu prawdziwych aktorek.

Wyglądała przesłicznie w białej peruce i z muszkami na twarzy, jako margrabinka; ktoś z erudytów zrobił uwagę, że przypominała ludzko jedną z główek Greuze'a, zawieszoną w galerii wersalskiej.

Papa Fiszbaum nie posiadał się z zadowolenia i dumy; raz poraz stawał w rozmaitych punktach salonu i przymrużonem okiem wodził po malowniczych grupach, po rojących się parach tanecznych, po fizjognomiach swoich gości, jakgdyby robił przegląd zaproszonych, wśród których nie brakło ani jednej gwiazdy, nadającej blask jego salonom.

W tem spojrzeniu plutokraty była chwilami jakaś buta i wyniosłość, która zdawała się łaskawie przemawiać:

— Bawcie się, pozwalam wam!.. znajcie papę Fiszbauma.

Czuł się szczęśliwym i zadowolonym zupełnie; zwłaszcza od czasu, gdy los spełnił jego marzenia i dogodził tajonym oddawna ambicyom.

Ludwika po powrocie z Nizzy powiła syna: miał już tedy tak upragnionego wnuka, i na nim

skupiła się cała czułość jego, jako ojca rodziny. Gdyby wypadło, byłby to dziecko odlane w złocie nosił, jako brelok przy zegarku, i pysnił się niem przed całym światem. Laccy cieszyli się odtąd największemi względami uszczęśliwionego dziadka; nie było rzeczy, którejby im odmówił w imię tego małego, różowego, pulchnego, jak pączek Tota

Toto stał się bożyszczem swego dziadka, który godzinami całemi wysiadywał u jego kołyski, stroił do malca pocieszne grymasy, kazał mu się tłustemi piąstkami za nos chwycić, dawał mu swój gruby, złoty zegarek z cyfrą wysadzaną brylantami do zabawy i przyspieszywał jakieś dziwne, niemelodyjne, własnej inwencji, piosenki, klaskając w dłonie i niezgrabnie wykonywając przy tem podrygiwania, z których dziecko zanosilo się od śmiechu.

W dniu urodzin Tota darował Ludwice ojciec Brylantówkę, w której wnuk na świat przyszedł, a Romuald wziął za głowę i uroczyście ze łzami w oczach pocałował go w czoło, mówiąc rozrzuwionym głosem patriarchy:

— Dziękuję ci, mój Muldziu!..

Byłby mu może pozwolił nawet wydawać dziennik i powrócić do zerwanych stosunków z politycznemi przyjaciółmi; ale od czasu powrotu z Nizzy i osiedlenia się na wsi, Romuald zdawał się sam unikać teraz wzmianki o kwestyach publicznych, jak wogóle o wszystkim, co miało związek z jego przeszłością.

Papa Fiszbaum spoglądał na swój salon, uśmiechnięty i rozpromieniony. Wielu ze swoich gości nie byłby potrafił nazwać po imieniu, nie pamiętał dobrze, gdzie z nimi zabrał znajomość, kto mu ich przedstawił i wprowadził do jego domu; mylił się co do tożsamości osób, jednych gotów był wziąć za drugich; ale widok tłumnego zgromadzenia, który zapełniał jego świetne apartamenta, sprawiał mu przyjemność. Wiedział, że tu bez prawa i tytułu nikt nie mógł się znajdować; musiał coś znaczyć, coś reprezentować moralnie lub materyalnie, musiał być notowanym na giełdzie towarzyskiej, hierarchicznej i finansowej.

Dumą napawał go widok córek, jaśniejących zarówno brylantami, jak urodą, otaczanych tłumem nadskakującej młodzieży. Zięć jego, baron, wśród czerwonych fraków rej wiódł i tańcami kierował; drugi zięć czynił honory domu i zastępował gospodarza w podejmowaniu gości najprzepyszniejszymi przysmakami jego piwnicy i kuchni; trzeci nazwiskiem, rodem, kolligacyą i opinią dawał świetności całemu pokoleniu Fiszbaumów.

Podczas, kiedy Krulle kręcił się między tańczącymi parami a Jerzbicki dyrygował legionem lokai i kamerdynerów, roznoszących pełne kieliszki na srebrnych tacach dla mężczyzn i chłodzińki dla dam, Romuald w bocznym salonie z najpoważniejszemi firmami siedział przy zielonym stoliku i zastępował teścia przy kartach.

Żona nauczyła go grać w preferansa podczas letniego pobytu w Brylantówce „dla zabicia czasu“ — jak mówiła — „i przypodobania się papie.“

Nie sprzeciwiał się temu i zyskał nowe względy u teścia, który od pewnego czasu rozpyływał się ciągle w pochwałach nad nim i powtarzał w coraz wyższym tonie zachwyty do pana Sylweryusza:

— Czy uważasz, marszałku, jak ten Muldziu dopasowywuje się do nas z każdym dniem lepiej... odkąd mu te zajęczki przestały biegać po głowie, zupełnie inny człowiek z niego.

Nawet stosunek pomiędzy szwagrami zaczął nabierać większej zażyłości. Jerzbicki przychodził do Romualdów teraz co drugi dzień na śniadanie i wylegiwał się w gabinecie szwagra na oba boki, udając miauczenie kota lub pianie koguta dla rozrywki małego Tota.

— Wiesz ty, Romek — mawiał — odstęp mi tę ottomanę; nigdzie mi tak dobrze nie drzeć, jak na niej. Co za dyabeł siedzi w tych sprężynach, że się na nich leży, jak na puchu!

Krulle bywał u niego radzić się w kwestyach sportu i zwierzał mu nawet swoje budoarowe awanturki; a w ostatnich czasach nabral tyle do szwagra zaufania, że raz pokazał mu w tajemnicy bransoletkę, którą z bukietem posyłał jednej

z koryfejek baletu, na złość pewnemu młodemu *blanc-bec'owi*, co na nią parol zagiął. Romuald słuchał tego wszystkiego bez wielkiego zajęcia, ale z pobłażliwością, którą w sobie wyrobił bezwiednie przez czas bliższego obcowania z rodziną.

Kochano go teraz o tyle, o ile dawniej szanowano instynktownie, ale nazimno; ten podniesiony stopień familijnej miłości wytwarzał w stosunkach między nim a żeńską połową rodziny pewną poufałość, na którą wcale w początkach się nie zanosilo.

(Dokończenie nastąpi).

KSIĄŻKI

dla młodzieży i dzieci.

(Dokończenie).

Rzadkokiedy można spotkać w literaturze dla młodego wieku tak zajmującą, tak szlachetnie, tak pięknie napisaną książkę, jak „Bohater Tebański,” powieść ze starożytnych dziejów Egiptu według niemieckiego oryginału Niemanna, przeobrażona przez Zofię Bukowiecką. Słowo wstępne, pióra M. J. Zalewskiej, daje czytelnikom te objaśnienia, których potrzeba, aby książka przyniosła im i pewną korzyść naukową, rozszerzając ich wiedzę historyczną o narodach, mieszkających (w wieku VII przed Chrystusem) nad Nilem i Eufratem. Ostatnie odkrycia archeologiczne rzuciły nowe światło na dzieje i życie ich wewnętrzne, publiczne i domowe. Z papyrusów, z tablic klinowych, z rzeźb i napisów odnalezionych, a zwłaszcza z wykopalisk świątyń i pałaców — miast całych, wydobyła się na jaw zamarta przeszłość, której obrazy mogą być i są też bardzo malownicze i zajmujące nawet w traktowaniu ich popularnym, jak dowodzi tego „Bohater Tebański.”

Żadna powieść nowoczesna nie może budzić w czytającej młodzi większego interesu, a tło zupełnie dla niej nowe, przedstawione przez autora z niepospolitym artyzmem, zająć musi każdą żywszą wyobraźnię. Ta Starożytność, wydobyta ze swego sarkofagu wieków, posiada właśnie świeżość rzeczy nieznannej — ludzi i natury, stosunków już dziś niespotykanych.

Całość jest bardzo sympatyczna, nastrój myśli bardzo szlachetny i podniosły, przecież z prawdą historyczną zgodny, bo odczytywane dziś przez egiptologów papyrusy, odkrywają takie rysy wysokiej i czystej moralności, taką mądrość w pojęciach owych, przed erą chrześcijańską na siedmset lat żyjących, ludzi, że piękna, poetyczna postać głównego bohatera, Amazyza, synowca króla Psametyka, założyciela XXVI dynastji, nie przedstawia anachronizmu. Są pewne dane moralne, tkwiące odwiecznie w duchu człowieka, które w nim pracują, a on w przerabianiu ich wiekowym doskonalą się i podnosi: „prawdła postępowania, wyryte w sumieniu ludzkości,” jak określa to M. J. Zaleska w przedmowie.

Książkę zdbi rycin 12. Wydanie bardzo porządne, p. Hosićka.

Zpod pióra tejżesamej pisarki: p. Zofii Bukowieckiej, wyszedł przekład drugiej dobrej książki dla młodzieży: „Osadnicy Kanadyjscy” przez kapitana Maryata. Literatura angielska liczy wiele podobnych książek dla młodzieży, zajmujących ztąd i pedagogicznych, że przedstawiają obrazy ciężkiej pracy życia pierwotnego, łamanie się z naturą i zdobywanie sobie z trudem tego, co wśród społeczeństw cywilizowanych zdaje się przychodzić tak łatwo, że młodzież nie zdaje sobie sprawy: ile-to pracy pokoleń minionych, ile znoju, który dziś oblewa czoła pracujących, składa się na wygodę ich życia, na jego ułatwienie.

Pragnęłabym bardzo, aby ktoś, ale z talentem, bo to warunek konieczny wszelkiego literackiego tworzenia, jakkolwiek zdaje się niektórym, że w pismach dla młodzieży i ludu mo-

żna się bez tego obyć — aby ktoś, czerpiąc treść z miejscowego gruntu, dał obraz taki nietylko pierwszego trudu i znojenia się pierwszych pokoleń, osiadłych na ziemi naszej, ale i w zakresie pracy nowoczesnej, dzisiejszej, która się składa na dobrobyt przez nas używany.

Uczyłoby to uszanowania dla pracujących, dawałoby pojęcie ich zasługi, i wykazywałoby, jak na pracy wszystko stoi — jak najwyższa praca myśliciela, mędrca, poety, sprzęga się niewidzialnym węzłem z pokorną pracą oracza, rzemieślnika. Wymiana to jest: ruch nieustanny w machinie życia narodu: — Daję... biorę... powtarza się wciąż od góry do dołu drabiny społecznej — i ztąd próżniak żyjący z fortuny odziedziczonej — z zarobku przeszłości, jest trutniem w ulu.

Czem więcej trutni, tem więcej pochłaniania bez odpłaty produkcyjnej, i ztąd ubożenie ogółu. Jak jest prawdą ekonomiczną, że nikt nie jest bogaty w ubogim narodzie, tak naodwrot każdy, kto żyje, pracować musi, bo każdy, kto żyje, sportrzebowywa.

„Osadnicy Kanadyjscy,” przypominają trochę powieści Coopera. Wzór dobry, książka też jest zajmująca i w należycie pedagogicznym tonie trzymana. Wydanie Maurycego Orgelbranda dobre, z czterema rycinami.

„Przygody młodego chłopca w szkołach,” przez A. Laurie, wolny przekład z francuzkiego, także wydanie Orgelbranda. Jest to obrazek przedstawiający wesoło i często z humorem edukacyjną koleżeńską pieścioccha: „synka mamy,” którego współucznie biorą w obroty i zmuszają, aby nabrał mękości przez odpowiednie hartowanie się w ćwiczeniach siły i wśród różnych przygód nowego dlań życia, już jakoby w społeczeństwie. Jest to wypieszczony i wiecznie na pasku macierzyńskim wodzony Francuzik, którego ojciec, mążenier, nie mogący czuć dotąd nad jego wychowaniem, oddaje do szkoły angielskiej, gdzie się uczy żyć kosztem doświadczenia. Czy tylko nie zadużo tu guzów i kontuzji różnych — wolności, wśród której malec musi wciąż stosować na małą skalę metodę: „Self Help?” Że to przecież rozbudza w chłopcu energią, piętnuje wstydem elegancką papinkowatość, można guzów nie liczyć. Lepsze są zawsze oczy podbite w walce koleżeńskij na kulaki, lepsza ręka na temlaku, niż np. tańce w Towarzystwie Wioślarskiem. Razem wzięta książka, zapewne bardzo zajmie chłopców w wieku jej bohatera — to jest, dwunastoletnich. Rycin cztery.

Miło jest zawsze wśród przekładów powitać książkę oryginalną, która przedstawia młodzieży nasz świat i nasze stosunki. „Garbusek,” powieść dla dorastających panienek, przez Maryę Świdorską — taki świat przed czytelnikiem otwiera. Niewesoło tam jest wprawdzie, bo zaraz na wstępie przedstawia się ruina i smutne przejścia, tak starszych, jak biednego dziewczęcia, które jeszcze jest kaleką — garbuskiem. Garbusek jednak daje sobie radę w świecie; mimo swej smutnej ułomności zyskuje wszystko, co życie może mieć najlepszego, i nikt nie dokuca, nie urąga ułomnej dziewczęce, bo jej dobroć, jej słodycz i wielka siła charakteru, jedna w końcu tych nawet, którzy z początku nielitościwymi dla niej byli. Garbusek najpierw uczy się chciwie, potem umie pracować, ma energią i rozum: więc mimo ułomności zdobywa sobie szczęście. Cenione, szanowane od ludzi dziewczę osiąga samodzielność przez pracę, a w końcu idzie za mąż za uczciwego, sympatycznego, bogatego nawet człowieka, iszkoda tylko, że autorka zrobiła go niewidomym; bo czyżby dlatego tylko mógł się z nią połączyć, że skrzywionej jej postaci nie widział?

Autorka, pisząc tę książkę, spełniła dobry czyn. Biednym, przez los pokrzywdzonym istotom przedstawiła wzór szlachetny, wskazujący im drogę postępowania — na pomoc trudnemu ich życiu; rzuciła złotą nitkę nadziei, że wyższe przymioty umysłu i serca zdolne są wynagrodzić brak fizyczne i dać tak upośledzonym to, czego nieraz osiągnąć nie mogą szczęśliwiej od natury wyposażeni w proste, piękne kształty.

Autor „Króla Kraka i królowy Wandy,” napisał drugą z kolei książkę na tle historycznych legend: „Myszy króla Popiela.” Zdaje się to za-

powiadać całą seryą tak opracowanej dla młodzieży historii naszej bajecznej, co też jest bardzo szczęśliwie pomyslanem przedsięwzięciem — jeśli tylko dobrze wykonanem zostanie. „Król Krak i królowa Wanda” należy do najlepszych książek naszej literatury dla młodzieży, jakkolwiek jest tam parę usterków przeciw prawom rozumnej pedagogiki. Jest jeden zwłaszcza wstrętny obraz dzikiego i okrutnego znęcania się nad nieprzyjacielem już powalonym: nad jeńcami niemieckimi, co pod żadnym względem za objaw patryotycznych uniesień uważać się nie może, bo patryotyzm jest szlachetnym, wysokim uczuciem, a tu przedstawia się zwierzęca dzikość, zwierzęce okrucieństwo — więc razem jest to rzecz psująca, przedstawiająca młodej wyobraźni obrazy ohydne, rozbudzająca najgorsze, wszelkim wyższym cnotom ludzkości, sprzeciwiające się instynktu. Co innego jest zapał rycerza w walce za najświętsze, najdroższe swoje prawa i ukochania, których on wtedy broni, którym służy. Nadstawia on zarazem i pierś własną, a tu już mocniejszy, staje się katem słabszego i dręczy go, złą namiętnością uniesiony.

Jeżeli autor chciał w ten sposób charakteryzować epokę pierwotnego człowieka, to również niezmierny błąd popełnił. Najpierw wszyscy historycy, obcy nawet, przyznają, że lechickie plemiona i cała nawet Słowiańszczyzna Zachodnia, miała naturę łagodną, może nawet załagodną ze względu na interes swój polityczny; w każdym razie przecież, nie przedstawia się wyobraźni młodej obrazów okrucieństwa, bo jeżeli inaczej być nie może, to się przedmiotu takiego na opracowanie dla młodzieży nie bierze. Pragnę dla „Króla Kraka i królowy Wandy” niejednego wydania, i dlatego wyrażam życzenie, aby w następnych edycjach usuniętem to zostało, co rzeczywistość z treścią samą się nie łączy i może być wykreślone bez żadnej szkody dla tej dobrej, wybornej, w wysokim stopniu zajmującej książki, i polecam ją do czytania w bieżącym roku tym, którzy jej w przeszłym do rąk nie dostali. Ale następna, która jest jakoby drugim jej tomem, już takiego życzenia nie budzi: wady się spotęgowały ogromnie, i całą pierwszą połowę książki zepsuły przez najwyższe niepedagogiczne obrazy opilstwa, hulatyki — dalej okrutnego trucicielstwa, które jest obszernie, szczegółowo opisanem. Najpierw król Popiel z żoną Hilderyką, księżniczką, obotrycką udaje się po truciznę wśród nocy do leśnej chaty czarownika Wilka, z łbem rzeczywistego wilka na głowie, aby obraz ten tem więcej straszyl młodego czytelnika i silniej na jego wyobraźnię uderzał. Potem daje się czytelnikowi obraz już dokonywanej zbrodni trucicia dwunastu stryjów króla Popiela, który zdradziecko przepija do nich miodem zatrutym i zbrodniczo gładzi ich ze świata.

To legenda... tak, — ale autor nie był zmuszonym jej opracowywać i tak obrazować jaskrawo, dosadnie. Jest obok tego i inna legenda pełna słodkiej poezji pierwotnej: legenda o aniołach schodzących do Piasta w dniu postrzyżyn jego synka Ziemowita, któremu cudownie przywracają wzrok i namaszczaają na przyszłego księcia Nadgoplańskiej Polski, a potem mnożą miód i kołaczki dla licznie zgromadzonej rzeszy gości piastowych. Otóż tę legendę przetworzył uważał autor za rzecz właściwą: z aniołów zrobił Benedyktynów z flaszka lekarstwa za białym habitem, a przezornych, bo mieli ze sobą na wozie słodkie wino, oraz całą sarnę i zebra, wreszcie wory mąki. Więc tedy Rzepicha, której zabrakło poczęstunku dla gości, poczęła coprędzej z darowanej mąki podplomyki piec, zebra i sarnę na rożny wsadzać a winem częstować i była uczta, na której król Popiel tak się uraczył, że „zupełnie pijanego i nieprzytomnego zaniesiono nad świtanie do dworca.” Scena to pijaństwa Popiela niejedyna; wstrętne opilstwo, dzielone z dworzaninem Zajacem, i powtarzające się kilka razy, nawet w starszym czytelniku estetyczną odrazę budzi. A obraz trucicielstwa, obraz topienia potem trupów w Gopie! Popiel, Hilderyka i Zajac topili je świtem szarym, a akcja cała jest obrazowana szczegółowo, jak rzucone

ciała tworzyły na cichych wodach jeziora koła, jak pograżały się w tonie i szły na dno. Zając „siedział potem długo nad jeziorem, patrząc, w nie szklistemi oczyma, potem zerwał się, zaśmiał i uciekł. Dostał pomieszania zmysłów...”

A Popiel?...

Popiel widuje duchy, widma mściwe, i otrzymuje od nich zapowiedź śmierci...

Czy to jest czytanie dla młodzieży, czy to lekcyja zamilowania dziejów ojczyźnych, przeszłości? Skrzydłom anielskim autor nie przepuścił, ale mordy i pijaństwo za nienaruszone uważał i malował je, barw i cieni nie żałując.

Jak na większy żal książka staje się w dalszym ciągu bardzo zajmująca. Myszy, zjadające króla Popiela, to Normandowie, którzy z Bałtyku dostają się do ujścia Wisły, płyną w głąb kraju Wisłą i Notecią na kumingach swoich, rabują, palą, biorą łupy w ludziach i ich majątkach, co wszystko razem jest opisane w sposób bardzo zajmujący. Wpływają oni przez Notecę na Gopło; Popiela, już opuszczonego od ludu, oblegają w wieży na wyspie, gdzie walczą on z nimi przy pomocy jedynie już przy nim trwającego Woisława, choć wie, niemal z pewnością, że daremnie, i w tej walce podnosi się, szlachetnie w oczach czytelnika. Przez odbicie go przez wszystkich budzi on litość, umiera wreszcie z pewnym majestatem królewskim. I jego pokuta już poprzednia, widzenia okrutne trupów utopionych, rozżalają, i mimowoli żaluje się zepsutego przedmiotu, zepsutej rzeczy pięknej, i bierze chęć prawie, aby, wydarłszy z książki 83 stronnic szkaradnych, opowiedzieć je młodym czytelnikom w inny sposób obrazowane, a resztę dopiero do rąk im dać, bo w dodatku jest i sześć ładnych rycin zdolnych zainteresować bardzo. Jest i piękna okładka, przedstawiająca walkę na wieży: Popiel napina łuk i wypuszcza na oblegających strzałę, Hilderyka leje na nich ukrop wrzący.

W zakresie nauki popularyzowanej dostała młodzież nasza bardzo ciekawą i pożyteczną książkę: „Dzieje Ziemi, czyli początki geologii, przez prof. Shalera,” przełożył z angielskiego za upoważnieniem autora Henryk Wernic. Antoni Słóarski i Józef Siemiradzki dopełnili przypiskami. Tatomira: „Król Kazimierz Wielki i Mikołaj Wierzynek. Przyczynek do dziejów mieszczaństwa polskiego w wieku XIV,” jest książką nadającą się bardzo na czytanie młodzieży, a że dobra, że rozumnie napisana, już uprzedza, nie myśląc, nazwisko autora. Obie te dobre książki są wydania Teodora Paprockiego.

Zapowiedziany przekład włoskiej książki Edmunda de Amicis: *Cuore* (Serce), nie ukazał się w druku. Przekładów zostało przeciw dokonań aż dwa: jeden w Galicyi, drugi tu, w Warszawie, przez p. z Siemiradzkiej Obrępałską. Ten ostatni miałam w ręku i wiem, że jest bardzo dobry, stała się też młodzi naszej szkoda wielka, że wyborna ta książka, nie wyszła. We Włoszech miała ona niesłychaną, zwłaszcza na stosunki tamtejsze, liczbę wydań — 50! Nie wiem, czy istnieje jej przekład niemiecki, ale jest francuzki: dokonała go M-me Razzi i wyszedł w Paryżu nakładem księgarni Delagrave. Znaczna liczba młodzi naszej język francuzki posiada, a matki, można powiedzieć, że wszystkie. Czyta się brzydkich romansów francuzkich bardzo wiele, należałoby przeczytać i tę bardzo piękną, wysoce edukacyjną książkę, która przytem jest równie zajmująca, jak szlachetna i pożyteczna. Matki, niemniej jak dzieci, powinny czytać książki pisane dla młodzieży, bo znajdując się tam zawsze pewne wskazówki wychowawcze, które są edukacyjną intencją autora w dzieło jego wszczepioną. Matka ją odkryje, i zrozumiawszy, może następnie w wychowaniu stosować.

M. Ilnicka.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 5 Grudnia 1887 r.

Manifestacje uliczne, tak zwane „journées” przypominające ciężkie chwile w epoce wojny 1870 r. — Geneza dzisiejszego prze-

wrotu. — Obrachunek Grévy'ego. — Posłanie do Izby i dymisya. — Jakie mogą być jej następstwa? — Fiziognomia Paryża d. 1 i 2 Grudnia. — Wybór nowego prezydenta. — P. Carnot, jego horoskop. — Literatura: „Kłamstwa”, nowa powieść Pawła Bourgeta. — Główne zarysy. — Definicja literackiej dążności we Francyi. — W czym się wliwi, a w czym ma słusność angielski korespondent „Bluszczu”. — Nowa książka *Mon bon Gaston*, przez pana de Pitray. — Kilka słów o autorce i o jej książce. — Kto był ów „dobry Gaston?”

Jak mówiłem w ostatnim liście, nawarzyli tu piwa, które nie łatwo da się wypić. Znowu dano nam było zobaczyć owe sławne Dżornatki, — jak mawiał pan pułkownik Jan Tarnowski, — jakich jużśmy nie widzieli tu od lat siedemnastu. W roku 1870 Emil Olivier, obejmując posadę pierwszego ministra Napoleona III, i tłómacząc swój programat ministryalny w Izbie Deputowanych, szczególnie położył nacisk na te słowa: *Nous voulons toutes les libertés, mais nous ne voulons pas des journées* — jest to bowiem techniczny wyraz, który tłómaczy tu wszelkiego rodzaju uliczne manifestacje. Otóż po siedemnastu latach zniknięcia tych dni pamiętnych, od ostatniego Czwartku, rozpoczęliśmy szereg demonstracji, których końca i wyczerpania nikt tu ani przewidzieć, ani przepowiedzieć nie zdoła, bo wszystko jest tu możebne i wszystko stać się może.

Niegdyś było to zwyczajem, odbijać ciągle tę starą kliszę myśli, że Polska nierządem stała; że dziś jeszcze jesteśmy niezdolni do poważnego życia, do porządku: że się klóćmy i rozdzieramy pomiędzy sobą; że... ale na co powtarzać tę znajomą litanią! Owóż zdaje mi się, że w czasach najsmutniejszych naszej exystencji nigdyśmy nie doszli do takiego rozkiełznania moralnego, jakie się tu praktykuje w tej chwili. A jest to dopiero początek tego dramatu, który się odegrywa we Francyi i którego następstwa mogą sprowadzić nieobliczone i nieprzewidziane klęski.

Jak pamiętacie, zaczęło się to od utracyszów i wietrznic, od matactwa pieniężnego, od frymarchenia sprzedawcy orderów, od łapowego przedajnych urzędników, a skończyło się na wypędzeniu prezydenta rzeczypospolitej z posady. Bo niema tu co obwijać w bawełnę: ten wielki największy akt polityczny dopełnił się w tej chwili, nie jako zmiana rządu spowodowana faktem największej doniosłości — nie, jest to proste wypędzenie z domu służącego, który przestał się podobać panu.

Jak owe żaby z bajki, proszące o króla, tak oni od miesiąca już świat cały napełnili swym wrzaskiem. Cała prasa bez wyjątku, prócz chyba „Małej Francyi” Wilsona, jedno tylko powtarzała codziennie: „Ruszaj precz, Grévy!” Nie szukano tu wcale dowodów za i przeciw, nie pomyślano ani na chwilę: jakie z tego mogą wyniknąć następstwa? Nie! poprostu i brutalnie: „Uprzykrzyłeś się nam, ruszaj precz!” — i poszedł precz.

Przypomina to sławny ostracyzm ateński, i tę odpowiedź daną Arystydesowi, przez jednego z Ateńczyków, który, sam będąc niepiśmiennym, prosił go o napisanie na skorupie ostrygi — była to kartka wyborcza owych czasów i ludzi, z kąd i nazwisko ostracyzmu — że daje głos swój za wygnaniem Arystydesa. — A czy ty go znasz przyjacielu? — pyta zdziwiony naczelnik rządu. — Nie, ale naprzykrzyło mi się słyszeć powtarzane ciągle — Arystydes sprawiedliwy! Sprawiedliwy Arystydes!

Zapewnee, że ten stary „Avocat Jurassique”, jak go tu przezwano od Gór Jurajskich, z kąd jest rodem, daleki jest może od sprawiedliwości nieposzlakowanej Arystydesa; ale i to należy powiedzieć, że owa sprawa Arystydesa to rzecz tak dawna i stara, iż dzisiaj trudno jest zrozumieć, co miała za znaczenie w Grecyi ta sprawiedliwość owego prezydenta ateńskiego. Kto z nich więc lepszy? — Grévy, czy Arystydes, nie wiem; ale wiem to tylko, że Grévy źle zrobił, starając się pokryć swoją powagą, swoją uczciwością i swoją władzą, niezawodne szachry słynnego zięcia swojego, Wilsona. Ach! naśpiewali się oni tutaj o tym Wilsonie — na wszystkie tony i tempa: A! co za nieszczęście!... — wrzeszczy ci Francuz lamentującym głosem, jakby go na pal wsadzano, oglądasz się, co mu się stało? a on dodaje z uśmiechem: — mieć zięcia! Tego, co tu

powstało pamfletów, piosneczek, trenów (complaintes), w sprawie tego zięcia, tegoby nie spisał na wołowej skórze. Wszystko dowcipne i złośliwe. Dodajmy nawet, że Wilson to człek małej, zbyt małej wartości; ale z kąd dojsć do tego, aby wyrzucić za drzwi prezydenta? — to już zawiele.

Nie bez racyi więc p. Grévy w swoim posłaniu do izby i do senatu powiedział te pamiętne słowa: — „Moim obowiązkiem i mojem prawem byłoby oprzeć się temu” — to jest żądaniu zrezygnowania z władzy. Zapewne, według konstytucyi, a nawet według zdrowego rozsądku, według obowiązków każdego z obywateli — to zmuszenie prezydenta do opuszczenia władzy, bez żadnego wyraźnego powodu, lecz tylko zapomocą samego „huźzia! hejże go!” wszystkich dziennikarzy i większości parlamentu, (co ma być wyrazem opinii całego kraju), to przechodzi wszelkie granice.

Były ciągania i stary adwokat, zamknięty w swem Elizeum, opierał się do ostatniego dnia Listopada — powiadają, że dlatego jedynie, aby nie stracić ani centyma ze 100,000 fr. miesięcznej swej pensyi. Nie wierzę temu; dosyć, że się opierał, mitrężył, a chociaż przedmieścia i kluby, zaczęły się burzyć, nie bardzo się lękał, bo liczył też cokolwiek na dyscyplinę wolno-mularską, której i sam jest jednym z wielkich dygnitarzy. Liczył, ale się mógł przeliczyć w tym względzie, bo i tu nie braknie dyssydentów. Posiedzenia ostatnie w lożach najwyższych stopni były bardzo burzliwe i znaleźli się ludzie gotowi na wszystko, tembardziej, że, niestety, i tu, jak gdzie indziej, sąsiedzki interes, wsparty sąsiedzkiem złotem, umiał przemożnie pchać prostodusznych do ostatecznego przełomu. Im więcej zagmatwania, rozterki, rozgardyaszu, tem lepiej sąsiadowi Francyi! Nie mógł więc Grévy liczyć zbyt wiele na tę dyscyplinę, a wszakże widoczne z tego, co się tu działo w tych dniach ostatnich, że rozkaz był dany: nie występować na ulicę, to jest, nie rzucić się do otwartej walki z policją i z wojskiem.

Jakkolwiek bądź, w dzień 2 Grudnia, w sławną rocznicę zamachu napoleońskiego, p. Grévy wystosował swe posłanie do Senatu i do Izby Deputowanych na ręce obu marszałków i w tem posłaniu, nie bez pewnych dotkliwych wyrzutów co do nielegalności postępowania parlamentu, podał się do dymisyi.

W obu izbach parlamentu przyjęto ją spokojnie, bez protestacyi i zarzutów; i tak ów sławny Arystydes, nieposzlakowanej godności — odesłany został do ulubionych swych studyów: gry bilardowej i hodowli kaczek! Wraz z panowaniem jego kończy się — można śmiało powiedzieć — peryod spokojnego i regularnego działania Rzeczypospolitej we Francyi. To bezwzględne i tak bezpieczne postępowanie z pierwszym naczelnikiem rządu, w tym kraju, tak lekkim i tak pochopnym do zmiany, — otwiera pole do przewrotów i zamachów, czego żywym przykładem będzie to, co się stało z powagą i rządem Grévy'ego. Jeżeli więc nie w co gorszego, to wpadniemy w te peryodyczne wstrząśnienia i gwałtowne zmiany, które są tak straszliwą plagą rzeczypospolitych Południowej Ameryki.

Pomimo zgromadzonych sił dość znacznych policyi i wojska około Izby Deputowanych — zbiegowisko ludzi na placu „de la Concorde”, na parapetach Ogrodu Tuilleryjskiego, i wzdłuż wybrzeży po obu stronach Sekwany we Czwartek, było ogromne, w Piątek zaś, — prawdziwie już zatrważające. Przecież mądre rozstawienie brygady policyi, dwóch batalionów piechoty i kilku szwadronów gwardyi konnej miejskiej (Garde municipale) — oczyściło całą przestrzeń ulic i bulwarów w sąsiedztwie Izby Deputowanych.

Zresztą widać było, że te tłumy składały się przeważnie z żywiołu, który się tu zowie *Burżoazya* — to jest z ciekawych gapiów wszystkich klas, oprócz klasy roboczej. I to właśnie pozwała, mniej więcej łatwemi środkami, trzymać je na wodzy. Tak się stało właśnie 2 Grudnia, — bo jak tylko żywsze poruszenie i nacisk tłumy stawał się silniejszym, zaraz policya i konnica od-rzucały go z łatwością na dawne miejsce.

Przecież i tu się nie obeszło bez guzów i rozbitych nosów, bo Paryżanin zawsze jest gotów stawić się ostro, aż póki nie dostanie tego po

uchu; wówczas spuszcza nos na kwintę i zadowolony wraca do domu. Skoro tylko około 2-iej godziny z południa rozeszła się wieść, że posłanie prezydenta i jego dymissya nadeszły do izby, zaczęły się krzyki i popychania w tłumie, a całe bandy uliczników, z zapasem piasku i kamyków—rzuciły się naprzód. Policya i konnica zmuszone były wystąpić ostro, i wśród tych szarży dostało się winnym i niewinnym—jak to zwykle bywa. A najciekawszi ucierpieli najwięcej; powiadano, że kilkadziesiąt osób zostało rannych—ale trudno to sprawdzić.

Dosyć, że się to wszystko skończyło na dziś, bez wielkiej szkody, i pierwsza *Dżornatka*, jakby pierwsza próba, została bez wielkiego efektu, dlatego właśnie, że klasa róbocza nie wmixszała się w tę sprawę, a przynajmniej była w małej liczbie, i bez intencji stoczenia walki,

(Dokończenie nastąpi).

IRLANDCZYK U SIEBIE.

Opis kraju i mieszkań irlandzkich. — Oplakany stan Irlandyi i nędza tam panująca. — Historia cierpień Ludu Irlandzkiego.

(Dalszy ciąg).

Rzecz prosta, że podróżny nie wszędzie w Irlandyi styka się z nędzą i pustkowiem. Napotyka on, choć nie często, pola uprawne, zagony z kartoflami, pastwiska, łąki, i jakitaki kawałek lasu. W takiej miejscowości zjawiają się od czasu do czasu robotnicy, bądź pieszo, bądź konno, lub też poganiacze bydła.

Czytelnik, przejęty współczuciem dla biednych bliźnich swoich, zadaje pytania mniej więcej tej treści: „Dlaczegoż naród ten cierpi taką biedę i taką znosi nędzę na swojej własnej glebie ojczystej? Gdzież się kryje przyczyna przerażającej, bezprzykładnej apatyi? Czy w przyrodzie, czy też w niedołęztwie i nieudolności samych ludzi?“

Ani jedno, ani drugie.

Klimat wywiera wprawdzie doniosły wpływ na życie człowieka; a każda żyjąca jednostka dla zdobycia pokarmu, dla utrzymania życia, musi staczać walkę z przyrodą i z innymi organizmami, które ze swej strony także dążą do tego samego. Im znów walka o byt jest silniejszą, zaciętszą, tem doskonalenie odbywa się szybciej i pewniejszy jest rozwój. Gdzie wcale niema walki, tam nie może być i mowy o zwycięztwie. Człowiek, podejmując trud około swego bytu, trud mający formę walki o byt, przystosować się musi do otaczających go warunków przyrody, i to mu ułatwia zwycięztwo. Irlandczycy tymczasem nie starają się wcale zbadać i poznać charakteru przyrody swego kraju i wcale z zasobów i bogactw jego nie korzystają. Wprawdzie jedna czwarta powierzchni wyspy składa się ze skał, jezior i bagnisk; druga ówierć—z miernego, pośledniego gruntu; ale zato pozostała połowa kraju stanowi grunt bardzo urodzajny. Znakomicie się do tego przyczynia jednostajnie umiarkowany, wilgotny klimat Irlandyi, który też wielce sprzyja rozwojowi roślin. Zielone łąki i bogate bujne pastwiska ciągną się na dalekich i zręstrzeniach.

Szczególniej okolice nadbrzeżne, dzięki położeniu swojemu blisko Oceanu, mają klimat jeszcze łagodniejszy i natura też gruntu jest tu lepsza. Na południowych-zachodnich pobrzeżach mirt rośnie pod gołym niebem, a temperatura zimy jest

tak łagodną, że mieszkańcy rzadko kiedy poznają się z mrozami.

Posiada również Irlandya wiele dogodnych warunków, sprzyjających rozwojowi handlu i przemysłu. Wewnątrz kraju wszystkie prawie rzeki i jeziora są splawne. Położenie wyspy nad brzegiem Oceanu Atlantyckiego, na wielkiej drodze pomiędzy Europą i Ameryką, mogłoby też wielkie mieć znaczenie dla kraju, a znaczna liczba portów, z których najważniejszy jest Cork, mogłaby znakomicie wpłynąć na postęp i rozkwit kraju. Kommunikacya lądowa takiesame prawie posiada warunki dogodne, jak i wodna.

Zdolności umysłowe Irlandczyka dopominają się same zużytkowania na cele kultury duchowej, społecznej, na rozwój cywilizacyjny. Przy bujnej wyobraźni, bystrem pojęciu i nadzwyczajnej wrażliwości uczuć, posiada Irlandczyk w wysokim stopniu rozwinięte poczucie godności osobistej i skłonność do sumiennego wypełniania swoich obowiązków, lecz nie w kraju rodzinnym, jeno na obczyźnie, poza granicami ziemi ojczystej.

Pewien Amerykanin twierdził, że Irlandczyk, raz wydstawszy się ze swego kraju, którego smutny widok nader zgubny nań wpływ wywiera—otrząsa się z przykrej apatyi, jakby z letargu. W Stanach Zjednoczonych odznacza się w rozmaitych gałęziach pracy i spełnia sumiennie i gorliwie swoje obowiązki. Jest zdolnym robotnikiem, doskonałym kupcem, pomyslowym fabrykantem, biegłym lekarzem, gorliwym nauczycielem, zawołanym rzemieślnikiem, pożądanym towarzyszem; pracuje z zapalem na polu literackim i artystycznym, jest pobożnym kapłanem—wreszcie straszny w boju i gorącym obrońcą kraju, w którym stanowi cząstkę społeczeństwa. A jednakże pomimo wszystkich warunków, które dla innego ludu byłyby niezawodną wróżbą dobrobytu i postępu, nędza panująca w Irlandyi weszła w przysłowie.

Anglicy przypisują tę nędzę i martwość niedołęztwu i niezaradności samego narodu i nagrawiają się z niego. Drugą przyczyną nędzy, na którą Anglicy kładą główny nacisk, ma być religia katolicka; wiadomo, że Irlandczycy są fanatycznymi, wiernymi jej wyznawcami.

W Irlandyi liczą cztery pierwszorządne miasta: Dublin, Cork, Limerick i Belfast.

Dublin jest największym miastem Irlandyi i trzecią stolicą Wielkiej-Brytanii. Do XII-go stulecia było to miasto zaledwie małąką mieściną nienieznaczącą; lecz kiedy kraj irlandzki został zawojowany przez Anglików, Dublin podniesiono i odbudowano.

Królowa Elżbieta (1558-1602 r.), pierwsza postanowiła powiększyć miasto, które też zaczęło stopniowo wzrastać. Obecnie należy Dublin do pierwszorządnych miast w Europie z 350,000 mieszkańców i jest ogniskiem handlu irlandzkiego, mianowicie handlu płótnem. Jest to miasto nowe, przeto nie posiada starej city, z wązkimi, krętymi uliczkami, ani żadnych zabytków, mówiących o minionej przeszłości. Ponieważ Dublin został odbudowany przez Anglików, a jest rezydencją wice-króla Irlandyi, nie różni się więc niczem od innych wielkich miast Europy. Ulice, parki, budynki prywatne, gmachy rządowe, bogato kolumnami i portykami ozdobione, w niczem nie ustępują pysznym gmachom londyńskim. Położenie miasta nad Morzem Irlandzkim przynosi mu też korzyść niemałą; tembardziej, że budowa wybrzeży, oraz przystani—jest takasama, jak w Londynie, Liverpoolu i innych portach kupieckich Anglii.

Nagły przeskok od przepychu i bogactwa do ostatecznej nędzy objawia się tu również rażąco, jak w Londynie. Wschodnia część miasta, zamie-

szkana wyłącznie przez arystokracją angielską, nie ma nic wspólnego z zachodnią częścią, zajętą przez najuboższą klasę Irlandczyków. Wyniosła i dumna magnateria angielska z obrzydzeniem i przygnębiającą pogardą spogląda na wpólną i nędzną ludność zachodniej części miasta, sianającej się i ukrywającej w swoim brudnym i zatęchłym Ghetto.

Uniwersytet w Dublinie rozporządza znacznymi środkami. Są to dobrowolne ofiary prywatnych osób, hojnie rokrocznie na ten cel składane. Zwierzchność uniwersytecka z gorącym zapalem dąży do jednego celu, a mianowicie: aby duch protestancki znalazł jaknajwiększe pole dla siebie w Irlandyi. Zdaje się nawet, że gorliwość na tym punkcie jest większa, niż w szerzeniu oświaty pośród młodzieży.

Cork, jako port, celuje handlem morskim; Belfast ma sławne fabryki płócien. Limerick jest miastem niezmiernie ubogiem; domki po większej części drewniane, niskie i stare, ludność miasta biedna, bo rdzennie irlandzka.

Pierwotni mieszkańcy Irlandyi, plemię celtyckie, nazwali kraj swój „Erynem“, to jest zachodnim krajem. Ponieważ jednak wyspa ma przepyszne zielone łąki i obszary zielonych pastwisk, nazwano ją jeszcze „Zieloną Wyspą“, „Zielonym Erynem.“ Irlandczykom wszakże, bałwochwalczo i fanatycznie miłującym kraj rodzinny, nazwy te okazały się niedostatecznymi; dodali więc jeszcze: „Perła mórz“, „Smaragdowa wyspa.“

Starożytni Irlandczycy zajmowali się wyłącznie hodowlą bydła i prowadzili życie nadzwyczaj patryarchalne. Ubogie chatki swoje stawiali nad brzegami jezior, lub w górzystych okolicach. W razie napadu opuszczali szybko lepianki, uciekając do lasów, gdzie znaleźć mogli przytułek i schronienie, albowiem były one gęste wówczas i bogate. A zdarzało się to dość często; Irlandczycy bowiem, sami napadając na sąsiadów swoich, Normannów, Duńczyków, — grabili i pustoszyli ich ziemie, unosząc wiele zdobyczy i uprowadzając do siebie mnóstwo jeńców, i nawzajem ulegali grabieżom i łupieztwu ze strony swoich nieprzyjaciół.

Po pierwotnem bałwochwalstwie dochowało się podziśdzien mnóstwo pamiątek. Są to po większej części szczątki świątyń, w których w przeszłości oddawano cześć najwyższą bóstwu. Niektóre mają kształt wieży, ozdobionej kolumnami i posągami; inne znów, szerokie u stóp, u wierzchu zupełnie ostro zakończone, wznoszą się prostopadłe i są bardzo wysokie. Jedne z tych zabytków zachowały się prawie nieuszkodzone większa część wszakże przedstawia się pod różnym w postaci zwalisk.

(Dokończenie nastąpi).

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowin przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza Arkusz 4-ty i 5-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Pogawędka. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Z życia o życiu, I. Sztuka biedy, napisał Moestu (dokończenie). — Książki dla młodzieży i dzieci, (dokończenie) przez M. Ilnicką — **Nowiny paryzkie.** — Irlandczyk u siebie, (dalszy ciąg) Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty i 5-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 31 wzorów ubiorów i rob. z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyeya stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

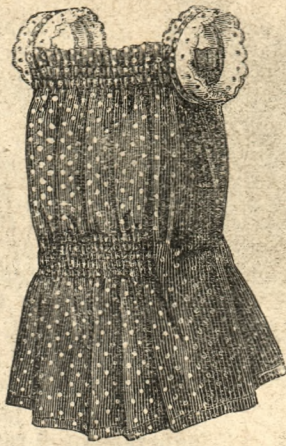
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 9 Декабря 1887 года.

Kapturek dla pań szydełkową robotą.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 49. Krój pierw. str. tabl. Nr. III, fig. 16.

Kapturek z białej gobelinowej włóczki, obsyty koronką wykonaną szydełkiem, ułożony na przodzie w fałdy, spięte kokardą z wstążki obranego koloru. Rozpoczając od środka przedniej części



Nr 1. Fa tuszek dla panienki od 4 do 6 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20 i 21.



N 2. Fartuszek dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIV, fig 67 i 68.

Podstawa do listów haftowana.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 49. Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 5

Haczyk nikłowy na podstawie z drzewa, pokrytej pluszem oliwkowego koloru, z rancikiem i czterema nóżkami nikłowymi. Haft wykonać na skórze wycinanej w ząbki obranego koloru, jedwabiem i złotymi nićmi.

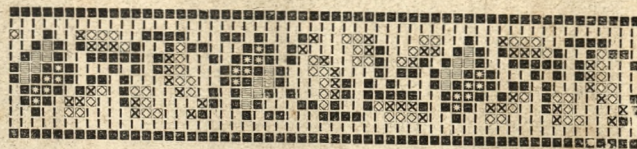


Nr 5. Kapelusz z aksamitu w pasy

ści. ocz. w następnę 3 ocz. Kolej 2: 3 pow. ocz., 2 słu. w następnę ści. ocz. i ciągle naprzemian 1 ści. ocz. w żyłkę, pomiędzy 2 środkowemi 6 słu., 6 słu., 6 słu. w następnę ści. ocz., na koniec 1 ści. łańc. o. w 3 z pierwszych 3 pow. ocz. poprzedniej kolei. Kolej tę powtarzać, dopóki forma wymagać będzie przybierania ocz., wtedy rozpoczynając kolej, zamiast 2 słu., 6 słu. w 1 o. ści., a na zakończenie następnęj kolei, oprócz 1 ści. ocz. w żyłkę środkową pomiędzy 6 słu., jeszcze 1 ści. ocz. w o. statnie słu. ostatniego. Gdy już część środkowa i dwa końce wykończone podług wzoru, wykonywać na wszystkich o. ten sam deseń dopóty, dopóki krój nie wymaga ujmowania ocz. i wtedy przy zakończeniu kolei, pozostawić kilka oczek wolnych, lub też na początku kolei przerobić kilkoma pow. ocz. Po wykończeniu części otoczyć ją na zewnątrz koronką. Kolej 1 ciągle naprzemian: 2 słu. przedzielone 1 o. w. w rząd ocz. następnęj kolei, 4 słu. przedzielone 3 ocz. pow. w rząd ocz. następnęj kolei, na ostatek 1 ści. łań. ocz. w 1 słu. tejże kolei. Kolej 2 ści. ocz. w następnę ocz. potem ciągle naprzemian: 6 słu. przedzielonych 1 pow. ocz. w 3 następnę pow. ocz., 1 ści. ocz. w następnę pow. ocz., pomiędzy 2 słu. Kolej 3: * 1 ści. ocz. w następnę ściśle ocz., 5 razy naprzemian: 2 ocz. pow., 1 ści. ocz. w pow. ocz. następnęgo słu. następnę 2 pow. ocz., od * powtórzyć, a na ostatek 1 łańc. ocz. w 1 o. ściśle tejże kolei.



Nr 3. Toczek dla młodych osób Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig 56 i 57.



■ czarny, □ żółty, * ciemno-zielony, □ jasno-zielony, † tło. Nr 4. Szlak do koszyczków i t. p.

Serwetka na stół.

Rycina Nr 36 — 38 w Bl. Nr 49.

Serwetka, wyłączwszy koronkę, 108 c. długa, a 24 c. szeroka, wykonana na kanwie „kongres“ kremowego koloru i takąż krętą bawełną, ozdobiona merszką i koronką 7 c. szeroką. Wykonać najprzód szeroki szlak ryciny 38, następnie szlak węższy



Nr 6. Kapelusz aksamitny.

ryc. 36, która również przedstawia jeden róg serwety. Odstąpić na merszkę, z uwzględnieniem rogów, pozostałe wolne poziome nitki, pomiędzy wążkami haftowanymi szlaczkami i przeciągnąć te nitki prostopadłe wzdłuż środka, krętą bawełną, ciągle po 6 nitkach krzyżując. Obrębić wążki i przyszyć koronkę, którą ułożyć w rogach, w stosownęj głębokości fałdę.

Garnitury z kwiatów do białych sukien.

Rycina Nr 3 i 4 w Bl. Nr 50.

Garnitury te składają się z jednego większego bukietu do spódnicy i z dwóch mniejszych do włosów i stanika.

Garnitur ryciny 3, złożony z żółtawo-różowych kwiatów, z różno-kolorowych aksamitnych liści i listków i z takiego motyla.

Garnitur ryc. 4 uwinięty z pasowych aksamitnych maków z czarnymi pręcikami, z [liści atlasowych, z mniejszych i większych pęczków maku, oraz jagód z białych pereł i złotych drobnych trawek.

Egretki do kapeluszy.

Rycina Nr 5 i 6 w Bl. Nr 50.

Rycina Nr 5 przedstawia główkę białego ptaszka, osadzoną wśród białych i popielatych piórek, takież same skrzydełka i wysoko stercząca kitka z piór.

Rycina 6 przedstawia egretkę ułożoną z popielatych, naturalnego koloru piórek, pomieszanych z piórkami mieniącymi się kolorów. W środku osadzone są wysoko sterczące popielate pióra i lodyżki piór strzępiastych, zakończonych różnobarwnymi piórkami.



Nr 7. Okrycie z pluszu i jedwabiu.

Nr 8. Suknia z pluszu i „foulé“. Przód. (Dł. r. 24). Opis odwr. str. tabl. 4

Wachlarze.

Rycina Nr 8-11 w Blu. Nr 50.

Rycina Nr 8. Wachlarz z czarnego drzewa, z zewnętrznymi pręcikami z trzciny bambusowej, jedwabną gazą pokryty i w górnym brzegu ozdobiony wielkimi malowanymi bratkami.

Rycina Nr 9. Oprawa wachlarza z czarnego drzewa nakładanego złotem i stałą, pokrycie stanowi częścią koronka czarna, na której deseń otoczony złotym sznureczkiem, częścią z gazy jedwabnej, malowanej rozmaitemi kolorami.

Rycina Nr 10. Wachlarz z jasnego drzewa, miejscami brązowany, miejscami nakładany złotem. Jedwabna gaza koloru modnego, malowana różnobarwnymi kwiatkami i ptaszkami uzupełniają całość podług ryciny.

Rycina Nr 11. Wachlarz z czarnego drzewa, złożony i rzeźbiony w otoczeniu koronki jak wskazuje rycina.



Nr 9 Walek do oparcia głowy haftowany. (Do ryc. 10.)



Nr 13. Płaszczek dla dziewczynki od 2 do 4 lat robotą szydełkową. (Do r. 14). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 58-61.



Nr 10. Część deseni do ryc. 9. Zmniejszona.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 21 w Blu. Nr 50.

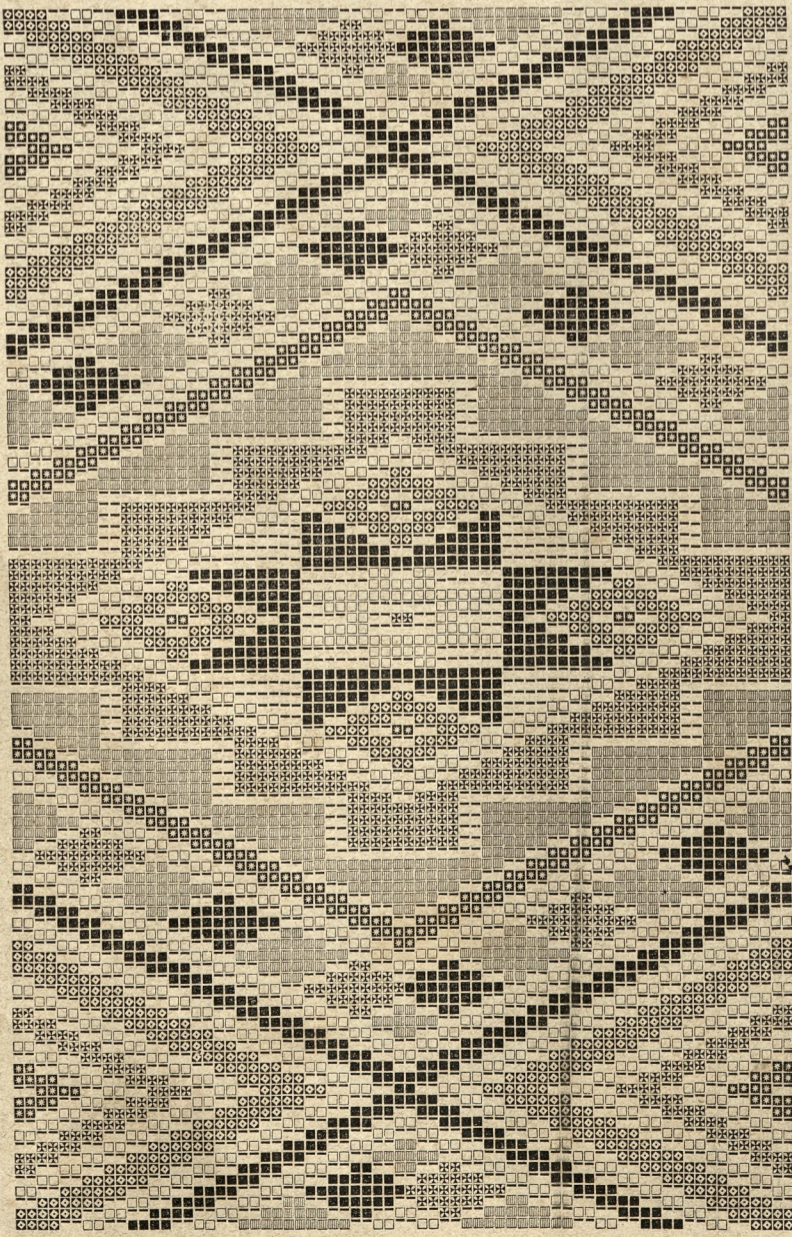
Koronka wykonana szydełkiem, kremową krętą bawełną, w dolnym brzegu ozdobiona rzędem gwiazdek, w górnym zaś kilkoma kolejami idącymi poprzecznie. Wyraźny wzór wskazuje sposób roboty.

Koronka szydełkową robotą.

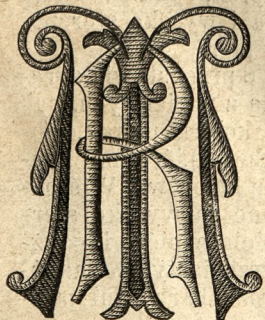
Rycina Nr 22 w Blu. Nr 50

Koronka krętą kremową bawełną. Rozpocząć na założeniu z 38 ocz. Kolej 1: 5 ocz. opuścić, 15 razy naprzemian 1 słup. w następne ocz., 2 pow. ocz., 1 ocz. opuścić, 2 słup. w następne 2 ocz., 2 słup. przedzielone 2 pow. ocz. w następne ocz. Kolej 2: 5 pow. ocz. 3 sł. w następne 2 pow. ocz., 2 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 4 razy naprzemian 3 słup. w następne 2 pow. o., 2 pow. ocz., 4 ocz. opuścić, jednakże przy ostatnim powtórzeniu opuścić tylko 3 o., 22 słup. w następne 22 ocz., 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 3: 5 ocz. pow., 4 słup. w następne 4 ocz., 22 słup., 4 razy naprzemian 2 pow. ocz., 1 sł. w 3 z rzędu ocz., następnie 2 pow. ocz., 4 sł. w ostatnie 4 ocz., 22 słup., † 2 pow. ocz., 1 słup. w 1 z następnych 3 słup., 2 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu ocz., od † jeszcze

4 razy powtórzyć, jednakże zamiast ostatniego słup., wykonać 3 słupki w następne 2 z 5 pow. ocz., następnie 2 pow. ocz., 1 słup. w następne ocz. Kolej 4: 5 pow. ocz., 3 sł. w następne 2 o., pow. 2 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, 5

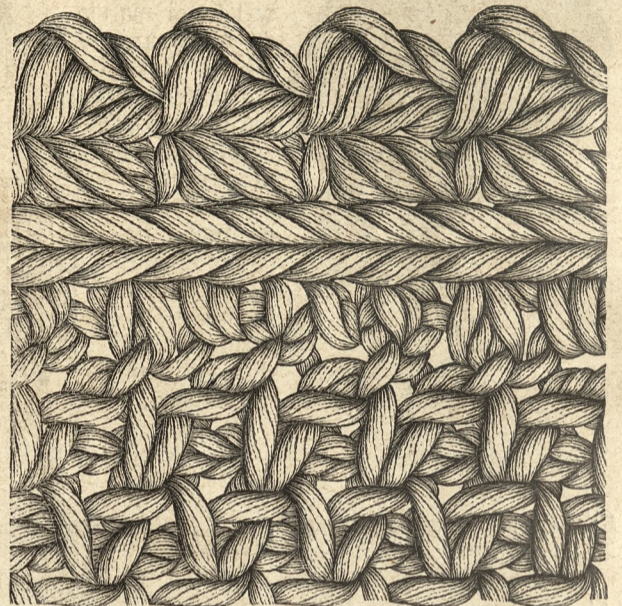


■ ciemno-zielony, □ pasowy, □ niebieski, □ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci (najj.) modny, - tło. Nr 15. Szlak krzyżową robotą. (Do r. 41 i 42 w Bl. Nr 52).



Nr 11. Znak haftowany.

razy naprzemian: 3 słup. w następne 2 pow. ocz., 2 ocz. pow., 4 ocz. opuścić, (przy ostatnim powtórzeniu tylko 3 ocz. opuścić) 4 słup. w następne 4 słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 10 słup. w następne 10 ocz., 2 ocz. pow., 4 słup. w następne 4 słup., 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz. Kolej 5: 5 pow. ocz., 4 razy naprzemian 4 słup. w 4 następne słup., 2 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, † 1 sł. w następne 3 słup., 2 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu słup., 2 pow. ocz., od † 4 razy powtórzyć. Następnie 1 słup. w 1 z następnych 3 słup., 2 pow. ocz., 3 słup. w następne 2 z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 sł. w następny słup. Kolej 6 jak 4, z tą różnicą, że zamiast 5 razy naprzemian, 6 razy. Kolej 7 tak jak 3 z tą różnicą, że zamiast 4 razy, 6 razy naprzemian, od †. Kolej 8 tak jak 2, lecz zamiast 4 razy, 7 razy naprzemian przerobić znajdujące się oczka. Kolej 9: 5 pow. o. 1 słup. w następne z poprzednich 22 słup., 8 razy naprzemian 2 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., † 2 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu ocz., 2 pow. ocz., 1 sł. w 3 z rzędu ocz., od † jeszcze 6 razy powtórzyć. Na-



Nr 14. Część szydełkowej roboty do r. 13. Wielkość naturalna

stepnie 2 pow. ocz., 3 słup. w następne 2 z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 słup. w następne ocz. Powtarzać ciągle od 2 do 9 kolei i otoczyć koronką w dolnym brzegu wzdłuż wykonaną koleją jak następuje: 1 słup. w rząd 2 kolei, * 1 słup. w rząd 2 kolei, * 1 słup. w rząd następnej kolei, † 1 pikot (to jest: 4 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w prostopadłą żyłkę poprzedniego słup.) 1 pow. ocz., 1 słup. w rząd następnej kolei, od † 4 razy powtórzyć, następnie 1 pikot, 1 pow. ocz., 3 słup. przedzielone 1 pikotem i 1 pow. ocz. w pierwsze 5 pow. ocz. 9 rzędu. Następnie † 1 pikot, 1 ocz. pow., 1 słup. w następne 2 pow. ocz. tejże kolei. Od ostatniego † 6 razy powtórzyć ale ostatniego słupka, nie trzeba jeszcze przerabiać, 1 słup., którego górną żyłkę z poprzednim słupkiem razem przerobić w rząd oczek następnej kolei, od * powtórzyć.

Podstawka pod lampę haftowana.

Rycina Nr 23 w Blu. Nr 50.

Podstawka z brązowej wyciska ne tektury, ozdobiona haftem, wykonanym na tle w rodzaju kanwy, wzdłuż rzędów dziurkowanych, niebieską filozelą w dwóch odcieniach, ścięciem krzyżowym i stębnowanym. Przez rząd dziurek przeciągnąć niebieską jedwabną wstążeczkę.

Skrzynka z poduszeczką.

Rycina Nr 26 i 20 w Blu. Nr 50.

Skrzynka z rzeźbionego drzewa ozdobiona poduszką 1 metr długą, a 50 cent. szeroko, wierzchna część



Nr 12. Znak haftowany.

też pokryta robotą kilimkową, wykonaną hamburską włóczką, według deseni ryc. 20 (sposób wykonania roboty kilimkowej podaliśmy w Blu. Nr 44 t. r., pod ryc. 3 do 5). Spód poduszki pokryty materiałem bawełnianym, a rogi ozdobione różno-kolorowymi kwaścikami.

Kapelusz z aksamitu w pasy.

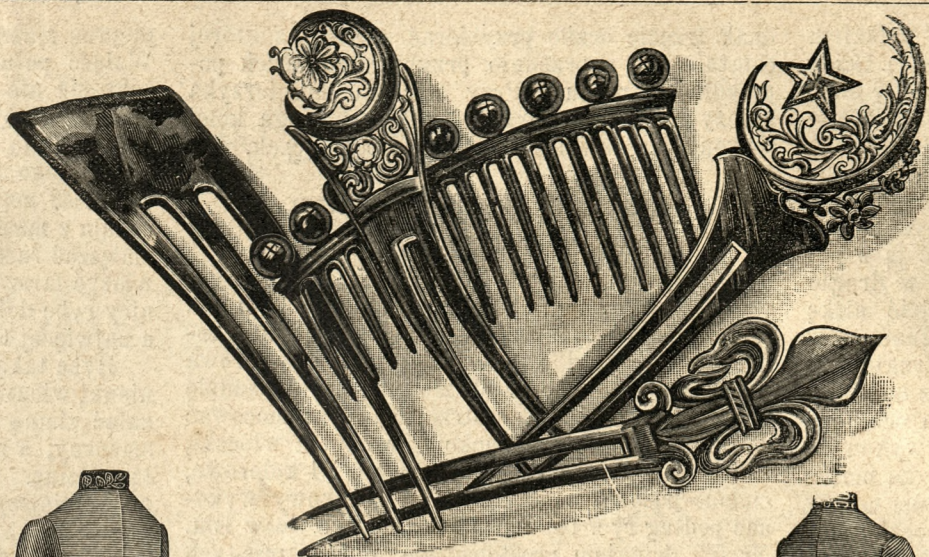
Rycina Nr 5.

Główka kapelusza pokryta jest aksamitem gładko obciągniętego na bokach, ułożonego z tyłu w fałdę, a z przodu buflasto upiętego. Wąskie rondko podszyte gładko brązowym aksamitem, oraz obszyte u brzegu ubranem ze strusich piór brązowych. Prócz tego kapelusz ubrany fantazyjnymi piórami (brązowo-żółtymi, czapłą kitką, oraz sutą kokardą z brązowej jedwabnej wstążki z atlasowym brzegiem. Taką wstążką służy do wiązania.

Kapelusz aksamitny.

Rycina Nr 6.

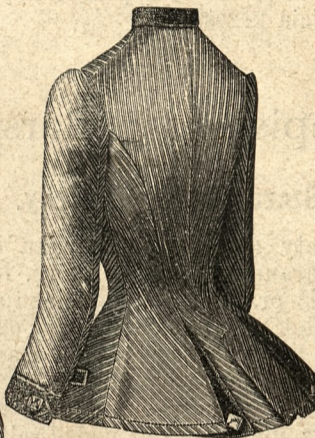
Kapotka pokryta aksamitem koloru oliwkowego, z odstającym rondkiem z takiegoż aksamitu, które obszyte jest u brzegu garniowaniem z czarnego marabutu, dwa jasnozielone i dwa ciemnozielone strusie pióra przymocowane na denku, uzupełniają ubranie kapelusza według ryciny. Przyszyte piór zakryte jest trzema dłuższymi końcami z czarnej wstążki, spadającymi



Nr 16—20. Grzebień i szpilki szyldkretowe.



Nr 22. Suknia z dyagonalu. Plecy. (Do r. 26).



Nr 21. Kaftanik dla panienki od 13 do 15 lat. Plecy. (Do ryc. 2).



Nr 23. Suknia z popeliny i kasmiru. Plecy. (Do ryc. 6 w Blu. Nr 52).

psu w fałdy i przyczepiona do pleców z pluszem. Ozdoby pasmante-ryjne ze szneli i sznurka jedwabnego uzupełniają okrycie według wskazania ryciny.

Walek do oparcia głowy haftowany.

Rycina Nr 9 i 10.

Poduszka obszyta białym lniwym materiałem, 28 cent. szerokim a 63 cent. wysokim, który zdobią naprzemian kwadraty 5 cent. wielkie z materiału „Aida“, oraz szlaki 2 cent. szerokie otaczające kwadrat i tworzące desień. Kwadraty wyhaftowane według wzoru ryciny Nr 10 bawełną pasową, krzyżowym ścięciem, szlaki również bawełną kolorową. Brzegi wycięte w zęby na bokach tak, aby szlak tworzył zewnętrzny brzeg, który obszywa się koronką białą, 5 cent. szeroką. Po zeszytciu poduszki w koło, zmarszczyć na bokach według ryciny i wsunąć walek przed tem zrobiony.

Płaszczek dla dziewczynki od 2 3 lat szydełkową robotą.

Rycina Nr 13 i 14. Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 58—61.

Płaszczek szydełkową robotą, z grubej zefirowej włóczki żółtawego koloru, zrobiony grubym szydełkiem, ścięciem w rodzaju tunetańskiego, obszyty przy szyi, rękawkach i u dołu ząbkami. Przody wykonać według fig. 58, plecy według



Nr 25. Suknia z „satin-merveilleux“.



Nr 24. Suknia z pluszu i materiału „foulé“. Plecy. (Do r. 8).

ku przodowi i trzema krótkszemi, spadającymi ku tyłowi. Taką wstążką przyszyta pod kokardą, służy do wiązania.

Okrycie z pluszu i jedwabnego materiału.

Rycina Nr 7.

Okrycie z czarnego jedwabnego repsu i pluszu, podwątowane i podszyte czarnym atlasem. Rękawy spadające wolno z pluszu, a pod spodem małe rękawki z repsu, przypinane na guziki do okrycia tak, że je dowolnie odpinać lub przypinać można. Tylne części ułożone z re-



Nr 26. Suknia z dyagonalu. Przd. (Do ryc. 22). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39—49.

fig. 59, zaczynając od dolnego brzegu, ścięciem w rodzaju tunetańskiego, (patrz rycinę 14). Ścieg ten składa się z rzędów, z których na każdy idzie dwie koleje: jedna kolej, w której się oczka nabierają na szydełko i drugiej, w której się oczka gubią. W pierwszej kolei pierwszego rzędu, po zrobieniu założenia z drobnej ilości oczek, * przy ostatnim oczku, nawinąć nitkę na szydełko od przodu ku lewej stronie, przeprowadzić ją w poprzek ku przodowi, włożyć szydełko w drugie z rzędu oczko założenia, przeprowadzić nitkę w lewo w poziomym kierunku i przeciągnąć przez przybrane oczko, od * powtórzyć. W drugiej kolei przerabiać ciągle najbliższe oczko z nawinięciem oczkiem i łączyć je łańcuszkowym oczkiem, luźno zrobionem. Następne rzędy są wykonane w ten sam sposób, tylko przybrane oczka bierze się z dwóch poprzecznych żyłek, przytem należy stosownie do fasonu przybierać i gubić oczka. Do przybierania należy z żyłki pierwszego lub ostatniego oczka, przybrać jedno oczko więcej, dla gubienia należy po kilka oczek razem przerabiać, przytem należy zwrócić uwagę na fałdy, które się układają w plecach. Po wykończeniu pojedynczych części, połączyć je z lewej strony łańcuszkowym ścięciem; następnie wykonać rękawki zaczynając od dolnego brzegu fig. 61 i kołnierzyk podług fig. 60, zaczynając od środka tyłu. Połączyć rękawki i kołnierzyk z płaszczkiem i otoczyć następującym szlaczkiem: Kolej 1 ciągle: 1 pół-słupek w każde brzeżne oczko, w końcu 1 ściśle łańc. ocz. w pierwszy pół-słupek tegoż rzędu. Kolej 2: * 3 pow. ocz. z drugiego i pierwszego z tychże po 1 oczku przybrać; 1 oczko przybrać z oczka, w którym ostatnie łańc. ocz. zrobionem było, 2 oczka w każde z poziomych górnych żyłek, 2 pół-słup. będących z lewej strony tak, aby górne żyłki pół-słupka na zewnątrz leżały, jak łańcuszkowe oczka od * powtórzyć, należy je-

dnak trzecie oczko przybierać z żyłki, z której ostatnie z 5 poprzednio przybranych oczek poprzedniego rzędu. Przy szlaczku kołnierzyka należy nie robić pierwszej kolei, a drugą kolej wykonać na dowolnym założeniu pow. oczek.

Krzesło do bujania z haftem.

Rycina Nr 15.

Krzesło gięte, obite z boku pluszem, pokryte serwetą haftowaną, 160 cent. długą, a 53 centim. szeroką, obszytą z brzegu frendzlą. Haft wykonany na czarnej kanwie Jawa różnokolorową włóczką w 5 lub 6 nitkach złożony. Na frendzlę przypuścić 10 cent. i wystrzępić ją, przymocować do brzegu serwetki różnokolorowe nitki włóczki, i nitki te wiązać po 12, 8 czarnych i 4 kolorowe, ciemno-pasową włóczką. Haft środkowy wykonać podług ryc. 15, a szlak podług ryc. 43 w Blu. Nr 52, ścięciem prostopadłym, oprócz prostych nitkach poprzecznych szlaku, które pokrywają 4 nitki materiału na wysokość, a 1 na szerokość. W końcu podszyć serwetę podszewką i przymocować do obicia krzesła.

Przepisy gospodarskie.

Szczupak faszzerowany.

Trzy funty najmniej szczupaka ogolić, jak można najstaranniej; ściągnąć skórę, łeb odkroić, albo zostawić przy skórze, — ściągając takową, trzeba kawałek mięsa zostawić przy ogonie. Mięso obkroić z kości i przesiać na maszynce raz, drugi raz dodać na każdy funt jedną bułkę kajzerkę, wprzód namoczoną i dobrze nasiąkniętą wodą, takową nie wyciskać, dodać soli do smaku,

pieprzu białego i na koniec noża cukru mialkiego. Wziąć pełną łyżkę młodego masła, przetopić, żeby się nie zrumieniło, oparzyć lub upiec pod blachą, pilnując aby się nie przypiekła, jedną cebulę średnią na trzy funty ryby, utrzeć i wrzucić do tego masła, niech się razem zagotuje; ta czynność musi być akuracie dopełniona, gdy ta cebula z masłem dobrze przestygnie, farsz ryby zmieszać razem, żeby się zrobiła jednolita masa, włożyć farsz w skórę rybną, położywszy na stolnicy rybę dobrze uformować, zimną wodą zmyć, a najwięcej tam, gdzie odkrojona skóra.

Rybę taką gotuje się w waniencie, na spód wanienki włożyć dużo włoszczyzny, następnie rybę zalać zimną wodą, nie dużo, bo sos będzie nie smaczny, a można go użyć na zupełnie i gotować całą godzinę. Z początku na dużym ogniu, później na wolniejszym, podług smaku dodać do sosu pieprzu i soli. Nadziewając, trzeba uważać, żeby nie zawiele włożyć farszu, gdyż takowy pęczniąc w gotowaniu, może spowodować pęknięcie skóry. Podaje się zwykle z białym sosem, to jest zagotować łyżkę masła z łyżką mąki, rozprosząc smakiem od ryby, wrzucić zielonej siekanej pietruszki, zagotować i polać rybę. Najsmaczniejsza jednak podana na zimno do octu i oliwy. Taką samą rybę można robić, krając na duże dzwono, z których obrane mięso zamienić na farsz i następnie nadziewać każde dzwono oddzielnie.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Ozór solony z chrzanem.
5. „Purée“ z kartofli.
3. Cielęcina z kompotem ze śliwek suszonych.
4. Krem waniliowy.



Nr 27. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 62—66.

Nr 28. Kaftanik dla panienci od 13 do 15 lat. Przęd. (Do ryc. 21). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—8.

Nr 29. Suknię dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Przęd. (Do r. 40 w Bl. Nr 52). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 9—13.

Nr 30. Sukienka dla panienci od 12 do 14 lat. Przęd. (Do ryc. 41 w B. Nr 52). Krój i opis pier. str. tabl. Nr VII, fig. 26—37.

Nr 31. Kaftanik marynarski dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 50—55.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Spółka wywozu mięsa za granicę. — Udziały. — Dobry interes — Praca dobrze procentująca. — Mięso karbolowane. — Przewóz mięsa w upały. — Dezynfekcja rzeczy i mieszkań. — Poznawanie cherochy z powietrza w pokoju. — Torty „provence”. — Babki podolskie (nowy gatunek). — Sorbety. — Ocet berbersowy. — Likieri na glicerynie.

Najważniejszą kwestyą gospodarstwa kobiecego w tej chwili, jest otwierająca się od 1 Stycznia 1888 roku spółka, wywozu mięsa wieprzowego, solonego i wędzonego za granicę, a głównie do Paryża. Najważniejszą powtarzam dla tego, że pora obecna jest najwłaściwszą do robienia zapasów tego rodzaju, a że zbyt jest zapewniony, więc panie nasze powinny się zabrać do tej pracy i bez straty czasu rozwinąć ją na wielką skalę. Skład nasion pana Wasilewskiego Miodowa, 18, nabywa każdą ilość solonej lub wędzonej szynki zwyczajnej, polędwicy w pęcherzu lub boczkę, płacąc za pud r. 6 — co wynosi 15 kop. za funt. Zanim więc spółka projektu swoje urzędywistni, zapasy już przygotowane znajdując w każdym razie zbyt w Warszawie na miejscu. Po zamknięciu granic państwa dla wywozu żywego inwentarza, którego sprzedaż przynosiła znaczny dochód, zawiązująca się spółka, ma świetną przyszłość przed sobą, a panie nasze powinny brać w niej udział nie tylko dostawiając wyroby swego gospodarstwa, ale biorąc nie wielkie, bo po 200 rubli udziały, zapewniające pewne i jak się spodziewać można, znaczne zyski. Dla młodych gospodyń, garnących się do produkcyjnego gospodarstwa, dałam bardzo obszerne wskazówki w „Kursie gospodarstwa dla kobiet”, co do chowu i wypasania trzody, oraz przerabiania jej. Przy mięsie muszę wspomnieć o fackie, który mi się zdarzył we Lwowie, podano mi pieczone mięso, nie mogłam go jakoś przełknąć i dopiero po pewnym czasie i długich próbach smaku i powonienia, doszłam, że mięso było przesycone karbolem, czy owinięte w szmatę nim nasyconą, czy umieszczone przy karbolu, aby nie uległo zepsuciu. Nie wiem ostatecznie co tu użytym zostało, dosyć że bezprzecznie było utrzymane za pomocą karbolu! Przecież nie posługując się karbolem w upał 20 stopniowy, można przewozić mięso w papierze albuminowym w lodzie i pokrzywach, które to ostatnie utrzymują dłużej lód w stanie nie rozpuszczalnym.

W obec panującej dziś ospy przypominamy, że znana farbiarnia i pralnia chemiczna Goeberów, za grochowską rogatką, bardzo szeroko rozwinęła u siebie tak zwaną „Kamerę dezynfekcyjną”, zajmującą się nie tylko dezynfekcją przysyłanych przedmiotów garderoby, ale i dezynfekcją mieszkań po przebytej chorobie. Dziś podczas panującej ospy, względ ten jest bardzo ważny, a my jako kobiety, więcej niż ktokolwiek powinniśmy myśleć o tem, aby ustrzedz rodziny naszej od ciężkiej i przez szpecące ślady przykryj choroby.

Od paru lat robi kilka pierwszorzędnych cukierni torty, a nawet ciastek zwane „provence” ojczyzną tych ciastek jest Szwajcarya, gdyż potrzebne do nich świeżutkie masło wyborowe; bywający w Krynicy i Szczawnicy, znają je także wybornie, otóż podałam przepis tortu tego wypróbowany i radzę czytelniczkom moim go spróbować z okazji świąt. Torty takie przedewszystkiem, wyborne wyrabia cukiernia Clo-

tin'a i Bott'a, róg Krakowskiego-Przedmieścia i ulicy Koziej. Ważniejszą jednak od tortów są dla mnie wyrabiane od pewnego czasu w tej cukierni babki podolskie. Ja i sądzę że większa część czytelniczek moich jest tego zdania, że baby podolskie są lekkie jak puch, duże, wyrosłe — pieką się w formie z papieru! gdy temczasem baby Clotin'a są wyborne, ale wcale nie tak pulchno dziurkowane, jak zwyczajne podolskie — źle je więc nazwano. Otóż te babki powinny się zwać zacieranane, bo robią się na zacieranem cieście; czyli że pewna część wyrośniętego gotowego już ciasta rozciera się i tak rozrartę rozpoczyna się dalej jak zwykle i ztąd pochodzi taka równa dziurkowatość.

Pan Sowiński, który się na dalekim wschodzie, bo na Uralu, nauczył robienia sorbetów, przedstawionych świetnie na wystawie higienicznej, oprócz sorbetów wyrabia różne smakołyki tureckie, bardzo dobre z miodu, jak „hałwa” i tym podobne, które po tanich bardzo cenach sprzedaje, a przy zbliżających się świątach o wiele zdrowsze od tradycyjnych marcepanów, lub nie zdrowych tanich cukierków; a że wyroby są tanie, więc je szczerze rekomendujemy — każda puszka sorbetu w cenie 20 kopiejek jest opatrzona nazwiskiem pana Sowińskiego, fabryka mieści się przy ulicy Mokotowskiej Nr 58.

Pani Rodewald, której fabryka octu zdrowia tak świetnie prosperuje — robi teraz bardzo ładny na pozór i bardzo miły w smaku ocet berbersowy, który głównie za słowoy używać należy. Fabryka mieści się przy ulicy Twardziej Nr 22.

W tych dniach zamyślam zrobić próbę likierów na glicerynie, zapobiegającej cukrzemiu tychże, w przyszłej pogawędce podzielę się z czytelniczkami memi rezultatem tej próby.

L. C.

HODOWLA I UTRZYMANIE PIJAWEK.

(Dokończenie).

Z tego cośmy powiedzieli, widzimy, że do hodowli pijawek potrzeba: 1) Bagna naturalnego, zawierającego znaczną ilość roślinności. 2) Utrzymanie wody na jednostajnej wysokości. 3) Zaplenianie należy pijawkami krajowemi, a jeżeli można miejscowemi. 4) Dno bagien winno być twarde. 5) Mieć do dyspozycji dostateczną ilość zwierząt, ażeby żadne nie cierpiało, z powodu utraty krwi, jakie spowodować może ssanie pijawek. Wprowadzać je raz na tydzień do bagna, przy pięknej pogodzie, ażeby pijawki wszystkie, przebywające w pewnym oddziale bagna, na raz nassać się mogły.

Oprócz bydła rogatego i osłów, które są najlepsze, bo jedzą spokojnie trawę, pomimo roju pijawek przyczepionych do nóg, najczęściej używają się do karmienia tychże konie, którym to najmniej szkodzi.

Wpędzanie zwierząt trwa od 1 Kwietnia, do 15 Czerwca. Pogoda ma wielki wpływ na karmienie, bo na zimnie i deszczu koń się niecierpliwi i męczy, lepiej więc nie narażać go na mękę, tembardziej że i pijawki wtedy nie chcą ssać dostatecznie, przeciwnie, w dniu pogodne

koń jest spokojny i pijawka ssie zajadle. Przy burzliwym powietrzu pijawka jest niespokojna, niezmiernie zjadliwa, więc należy krótko trzymać bydło w bagnie.

Nareszcie przy żywieniu pijawek zwrócić należy uwagę, na następujące okoliczności:

1) Na wiosnę, skoro się ze snu zimowego obudzą i nanowo w bagnie ukazywać się zaczęły, daje im się krwi wiele, wtedy bowiem jest im najpożyteczniejszą.

2) Od połowy Czerwca, podczas parzenia się i składania kokonów, które trwa zwykle przez całe lato, nie daje się żadnej żywności i dopiero we Wrześniu takową podaje.

3) Należy pijawkom tylko takie dawać ssać konie, które wolne są od chorób, mianowicie od nabrzemienia i wrzodów na nogach.

4) Wprowadza się konie do bagien raz na tydzień, pozostawia się w nich po kilka godzin, a potem dostarcza się im zdrowej i obfitej paszy na pokarm.

5) Unikać należy wprowadzania koni podczas upałów, bo te zwierzęta wówczas są mocno osłabione, a pijawki tak krwi chciwe, że aż po nad wodę wylażą i objadają biedne zwierzęta.

Przy łowieniu pijawek zachować należy tę prostą ostrożność, ażeby nie łowić ich więcej, niż się odrodzić mogą; nie bacząc na te względy, łatwo wypłenić najbardziej zagnieżdzone sadzawki. Czas połowu jest różny, zależy bowiem od klimatu i od pogody w danej porze roku.

W lecie się nie poławia, bo się parzą, w zimie nikt by ich nie wynalazł, bo się kryją w ziemię, pozostaje więc tylko jesień i wiosna. Im cieplejszy klimat i wcześniejsze ciepło, tem się parzą wcześniej, wczesnego też połowu zaniechać należy, najlepszy połów jest jesienny, bo wtedy pijawki najwytrwalsze są na niewygody transportu, największe i najzarłocześniejsze.

Najlepiej dokonywać połowu przed nadejściem burzy, bo się ich najwięcej ku powierzchni wody zbiera, w zimno leżą na dnie, w upały kryją się w chwasty. Najlepszy sposób połowu jest następujący: Człowiek wchodzi do wody, bije kijem lub ręką o jej powierzchnię, a pijawki zwabione szelestem, w chęci dostania pożywienia, wychodzą ku powierzchni wody i wtedy może łowić rękami, siecią lub sitkiem drucianem i do torby chować. W niektórych miejscach używają przynęt, za które służą: krew zsiadła na deszczkach, niekiedy płachty umazane we krwi wrzucają w bagno, a pijawki wszedłszy w podobne sidła, łatwo łowić się dają; w innych miejscach wygarniają błoto na brzeg sadzawki graczami, umyślnie w tym celu urządzone i wybierają z niego co się napotka.

Po połowie pijawki przebiegają się troskliwie, drobne młódki i maciorki rzucają się napowrót gdzie były, a wybrane na sprzedaż, wrzuca się do osobnej sadzawki, ażeby się w niej wygłodziły i z naskórka oczyściły. Sadzawka ta powinna być mała, dostępna i tak urządzona, aby łatwo było w niej łowić, okno zaś powinno być zasiane rumienicą, o której szerokie liście pijawki, podczas lenienia, ocierały się mogły; w sadzawce takiej utrzymuje się je przez kilka miesięcy, aby się wygłodziły, a potem w handel się puszcza.

W największym zakładzie pijawczanym, w Smyrnie, który prowadzi handel z całym światem, pijawki przesyłane bywają w faskach umieszczonych w glinie. W okolicy tamtejszej w bliskości sadzawek, posiadają bardzo delikatny gatunek gliny, który doskonale miela, przesiewa-

ją kilkakrotnie przez sita druciane, a następnie zarabiają z wodą, przerabiając rękami i nogami glinę, póki się nie urobi w ciasto doskonale jednolite, nie zawierające grudek i kamyków, któreby pijawki kałczyły mogły.

Dopełniwszy kałem glinianem faskę, zamykają ją drucianem denkiem, w którym się znajdują otwory, dla przystępu powietrza i przesyłają owe faski w różne okolice.

Do transportu używają wygodnych furgonów na resorach, zawierających wielką ilość pudeł, z powierzchniami dla przewiewu ścianami, w których są pułki z metalowej siatki, na których układa się worki z pijawkami. Każde pudło może pomieścić 12 do 18 funtów, nim się jednak towar umieści, worki zawieszają się w cieniu, na godzinę lub dwie, ażeby należały ociekły, panuje bowiem przekonanie, że pijawki podczas transportu, powinny być sucho utrzymane.

Ażeby jak można najprędzej odbyć podróż, przedsiębiorcy francuzcy zamawiają na stacjach pocztowych konie, za danym znakiem wszystko do drogi gotowe i przewóz się bez przeszkód odbywa, na ważniejszych stacjach przebijają, przemawiają je w świeżej wodzie, wyrzucają zdechłe, a reszta idzie w dalszą drogę. Handel pijawkami tak jest rozwinięty w Europie, że Londyn potrzebuje ich rocznie do 7,000,000, a między niemi najmniej jest pijawek miejscowych, płacą za nie po jednym do półtora szylinga za sztukę.

W naszym kraju wywóz pijawek za granicę jest zabronionym, co właśnie się przyczynia, że nasze bagna nie zostały jeszcze wytrzebione, co przy braku starannego gospodarstwa pijawczanego, a pojętne zarobku, nie długo by nastąpić mogło. Według dziełka Dra Szokalskiego, gospodarze nasi zwrócili uwagę na przetrzebienie pijawek i potworzyły się sadzawki w powiecie kaliskim, hrubieszowskim i około Radomia, jak idą pierwsze obecnie, niewiadomo, sprzedawano jednak po 20000 rocznie pijawek, o drugich żadnych nie mamy wskazówek, a ostatnie zmarniały, z powodu wymarznienia bagnisk.

W Warszawie otrzymujemy pijawki zazwyczaj z pierwszej ręki; wieśniacy przywożą je na targ i po kilkanaście groszy sprzedają, co nie przeszkadza, że za przystawienie pijawki po 30 kopiejek za sztukę zapłacić trzeba! nie dziwnego zatem, że w leczeniu, musimy pijawek używać bardzo oględnie. Na to podwyższenie ceny pijawek, wpływa także niezaprzeczenie brak starannego ich pielęgnowania.

Co do przewozu i handlu pijawkami, to dodać należy, że przy przesyłaniu w małych odległościach, używać można z pożytkiem skrzyneczek mchem usłanych, zwłaszcza gdy się je w niewielkiej przesyła ilości, przy większych odległościach trzeba używać miłkiej gliny, jak to robią w Smyrnie, albo worków płóciennych, używanych nad brzegami Dunaju. Koleją stanowczo przewozić nie można, gdyż ruch kolejowy usypia je.

Chcąc przechowywać pijawki w domu, należy je chować w zamknięciu, w słojach, lub innych podobnych naczyniach; choć ten sposób chowania jest bardzo dla nich nie właściwy, najbardziej się oddala od natury, a jednak inaczej być nie może. Doświadczenie podało już niektóre wskazówki, jak się w podobnych warunkach uchronić od śmiertelności pijawek, ale wskazówki te są niedostateczne i śmiertelność zawsze jest wielka, ponieważ jednak nie posiadamy lepszych, musimy się tu ograniczyć na przytoczeniu takich jakie są.

Pijawki należy wybierać zdrowe, silne i w kwiecie wieku, najlepsze są w jeziorze. Zdrowe są takie, które przedstawiają się jędrne, mięsiste i bez żadnych po skórce gruzłów, które ściągają się energicznie, wyciągają, układają w kokardę. i w kłębek, przy potrząsaniu między dłońmi i rzucane w wodę ogrzaną do 12 R., długo w niej żywo pływają, nim na dno opadną. Nie powinny farbować wody krwawo, ani jej szlamem zanieczyszczać. Pijawki nie posiadające wymienionych warunków, winny być oddzielone i spo-

trzebowane jak najprędzej, nie należy ich trzymać ze zdrowymi razem, bo te ostatnie zatruwają.

Chcąc, aby się pijawki zdrowo chowały, trzeba baczyć na wodę, w której żyć mają, na powietrze i na naczynia, aby w danym naczyniu za wiele pijawek na raz nie natłoczył.

Co do wody, najlepsza jest woda miękka, rzeczna. Jak często wodę zmieniać należy? tego stanowczo trudno oznaczyć, to tylko pewno, że świeżo kupionym, codzien ją zmieniać wypada, zwłaszcza, gdy takową farbują i są wystawione na gorąco. Później, co trzy dni i co tydzień tylko zmieniać ją należy, nareszcie, gdy się w dniu naczynia nie spostrzeżę szlamu, można co dwa tygodnie wodę odmieniać.

Rośliny przyczyniają się do odświeżania wody, jeżeli więc się starannie takowe pielęgnować w wodzie, w której pijawki mieszkają, można bardzo rzadko wodę zmieniać. Nakoniec należy zwracać uwagę na temperaturę wody, wodę świeżą należy na kilka godzin obok pijawek postawić, aby się stopień ciepła wyrównał ze starą.

Najlepsze naczynia są dla pijawek słoje fajansowe, bo chociaż pijawki potrzebują światła, nie powinny być ciągle na nie wystawione, a potrzebują przytem mieć gładką powierzchnię w swym domku, do którejby się swobodnie przyczepiać mogły i siedzieć, póki im się podoba. Można zastąpić fajansowe słoje szklannymi, ale oblepić trzeba do połowy czarnym papierem, wówczas znajdują dostateczny cień, ile razy do wody zagłębia.

Naczynie powinno być zastosowane do ilości pijawek, oprócz wody posiadać muszą trochę gliny, którą należy miałko utłuc, zarobić z wodą i umieścić na spodzie naczynia, nalewa się wodę; pijawki wówczas swobodnie mogą się zagrzebywać w glinę i wybornie żyją. Skoro przyjdzie potrzeba ich wydobyć, dopełnia się wodą naczynie, miesza ostrożnie i wylewa na przetak lub na rzadkie płótno, które wypadające pijawki się zbiera.

Zachodzi pytanie, czy można drugi raz pijawki użyć, otóż doświadczone, że pijawki dla strawienia pożywienia, potrzebują 6 do 8 miesięcy, że każda winna być od 1 do 2 miesięcy głodzona, a następnie dopiero na nowo przystawiona. Takie postępowanie wymaga dużego zachodu, obszerniejszego gospodarstwa i w domu nie może być skutecznione; zatem należy uciec się do sposobów sztucznych, które jak się przekonano, wcale pijawkom nie szkodzą.

Sposoby te podlegają na: kąpaniu w wodzie słonej; posypywaniu sproszkowanym węglem, kąpieli w piwie, przecięciu lancetem na grzbiecie, łagodnym i systematycznym pociskaniu. Przy użyciu pierwszego z tych sposobów, należy przygotować roztwór soli kuchennej w wodzie miękkiej, używając 1 części soli na 10 części wody, i wrzuciwszy weń pijawki, zostawia się na 3 do 4 minut, po upływie tego czasu, pijawki krew z siebie puszczać zaczynają, przesadza się je do nowego roztworu i postępują tak, dopóki zupełnie nie scieńceją. Potem obmywa się je w wodzie czystej, którą się często odmienia, albo wpuszcza się do rezerwoaru glinę zawierającego.

Najlepszym sposobem wypróżnienia pijawki, jest wygniatanie, co wykonywa się prawie powszechnie, jest łatwym, ale winno się odbywać systematycznie, powoli, a nie tak, jak robią niektórzy ujawszy pijawkę za ogon lewą ręką, ciągną ją z całej siły; nie dziwnego, że po takim traktamencie pijawka niedługo zdycha. Najlepiej jest lekko przyciskać ją od połowy, ku jednemu i drugiemu końcowi postępując, a chociaż odrzuci krwi nie wywomitują, to jednak po niej jakim czasie to nastąpi i całkowicie z krwi wyssanej oswobodzoną zostanie. Wówczas umieszcza się ją w słoju z wodą czystą, albo się układa do tego samego naczynia, w którym przebywała i głodzi, poczem po kilka razy (zawsze wyciskając krew), może być przystawiona.

Gdyby ktoś posiadał znaczną ilość pijawek i na strawienie przez nich krwi wyssanej, a następnie na wygłodzenie czekać był wstanie, mo-

że wiele krwi wyssanej ich nie pozbawiać, gdyż takowa albo nie wiele, albo wcale im nie zaszkodzi.

L. C.

Środki domowe.

Środek na zagojenie odziębionych nóg i rąk.

Rozkroić soczystą cebulę, wydrążyć ją, nakłasić w puste miejsce lodowatego cukru, przykryć odkrojonym wierzchem, upiec w piecu tak jak jabłko, umieszczając wszakże cebulę tak, ażeby sok miał gdzie spływać, na podstawce jakiej lub w filizance. Soki tym smarują się miejsca bolące, a po dwóch lub trzech razach, można jeżeli są ranki, zostawić płócienny gałganek sokiem zwilżony, na bolącym miejscu i przykryć takowe pończochą lub rękawiczką, po kilku dniach odjąć i ciepłą wodą obmyć chore nogi lub ręce. Przykre cierpienie powinno być całkowicie usunięte.

Mycie butelek po oliwie lub tranie.

Wiemy już, że wybornie myją się butelki po oliwie kawałkami bibuły, lub obierzynami z kartofli — ale niedawno przekonałam się, iż równie się dobrze myją zimną wodą, bardzo naturalnym procesem. Nalać w butelkę po oliwie tak pełno wody zimnej, żeby się aż przelewała woda, wtedy na wierzchu zbierać się będą wszystkie resztki tłuszczu i spływać po wodzie — w parę godzin butelka będzie czysta, a dla pewności wypłókać ją jeszcze kilkakrotnie wodą z piaskiem.

Doświadczenia gospodarze.

1. Piekąc marengi lub makaroniki, wreszcie mazurki migdałowe, a nawet i kruszki, układać na papier położony na blasze niczem nie smarowanej, po upieczeniu wyjąć z papierem, odwilżyć go zimną wodą, a z zupełną łatwością da się odjąć.

2. Zamiast cytryny do wywabiania plam atramentowych z bielizny, można użyć kwaśnych pomarańczy zimowych, postępując jak z cytryną (patrz: „Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“).

L. C.

KORESPONDENCYA.

Pani A. Z. w Tomaszowie rawskim.

Prosimy od pół roku o adres wyraźny — gdyż żądanie pani wymaga listownej odpowiedzi. Bardzo prosimy o niego.

Pani Alinie N.

Odwar łupiny świeżych włoskich orzechów, służy przy dłuższym użyciu maczaniem skóry na głowie, do zciemnienia włosów blond lub rudawych, nigdy jednak do siwych włosów użytym być nie może. Żle pani zrozumiała tę wzmiankę.

Pani Lucy.

Kokony jedwabników dostać można w Sielcach, za rogatką belwederską, gdzie jest zakład jedwabniczy, zostający pod zarządem pana Adolfa Boguckiego, mieszkającego w Warszawie — Nowy-Swiat, 62.

Pani S. G. w Tarnopolu.

Żadnego maku używać nie można, bez sparczenia gorącą wodą kilkakrotnie i zostawienia go w tej wodzie choć z godzinę — zlać i dopiero wiercić z cukrem.

Pani Sucho...

Odpowiedź już była — powtarzamy ją — Numer 4 czyli próba 90, znaczy w składach spirytusu jedno i to samo.